Myśl Polska

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT—MONTHLY REVIEW

Nr 102 (Rok VI, Nr 7) Wrzesień, 1946 Cena (Price) 2/-

KONIEC FIKCJI

Z GÓRĄ półtora roku temu, na krótko przed rozpoczęciem obrad w Jałcie, jeden ze znanych dziennikarzy amerykańskich wyraził się z cyniczną otwartością, że w sprawie polskiej chodzi już tylko o znalezienie *saving the face formula* — formuły, "chroniącej twarz". Zwrot ten, przetłumaczony na język rzeczywistości politycznej, oznaczał, że w Londynie i Waszyngtonie pogodzono się nie tylko z faktem odcięcia od sprzymierzonej Polski połowy jej przedwojennego terytorium i zagłady jej wielowiekowego dorobku cywilizacyjnego na tych ziemiach, ale i z uzyskaniem przez komunistyczną Rosję decydującego wpływu na rządy oraz ustrój polityczny, społeczny i gospodarczy reszty kraju. Równocześnie jednak czyniono wysiłki, by fakt ten, nie mający bądź co bądź precedensu w stosunkach międzynarodowych, uczynić bardziej strawnym zarówno dla opinii publicznej Zachodu, jak i własnych sumień.

Stąd właśnie formuła o "rozszerzeniu" lubelskiego komitetu obcych nominatów oraz o "wolnych i niekrępowanych" wyborach (*free and unfettered elections*), jakie wkrótce potem miałyby się w Polsce odbyć.

Czy formuła ta brana była na serio przez anglosaskich partnerów konferencji? Liczni politycy brytyjscy i amerykańscy wierzyli jeszcze wówczas — lub, na przekór wszystkiemu, pragnęli wierzyć — w możliwość jakiegoś ułożenia stosunków z Rosją, o ile się przez różne ustępstwa, dokonywane zresztą cudzym kosztem, rozładuje jej "kompleks zagrożenia" i wzbudzi w Moskwie uczucie bezpieczeństwa. Łączyło się z tym jeśli nie przekonanie, to przypuszczenie, że w znormalizowanej w ten sposób sytuacji międzynarodowej Rosja we własnym interesie nie będzie całkowicie niszczyła wolności okupowanych przez nią krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Jeszcze układy poczdamskie z lata 1945 r. opierały się na założeniu jakiegoś znośnego *modus vivendi* między Zachodem a Związkiem Sowieckim, mogącego przetrwać czas dłuższy.

Nie chcemy tu rozważać, dlaczego założenie to — co wyznał zresztą b. premier Churchill w kilku ostatnich swych przemówieniach — okazało się zupełnie błędnym. Dla nas jedna rzecz od początku była jasna: że formuła jałtańska, obiecująca Polakom jakieś strzępy swobód, była od początku *unworkable* i nie mogła dać, nawet w swym tak wąskim zakresie, żadnych konkretnych wyników. Do poglądu tego doprowadzić musiała — łącznie z analizą ustosunkowania się Rosji do mocarstw anglosaskich — zwykła obserwacja wydarzeń na obszarze samej Polski od chwili narzucenia jej administracji Bieruta i towarzyszy.

Niezależnie od tego już pierwsze — początkowo ukrywane, później stopniowo ujawniane — postanowienia praktyczne, dotyczące "realizacji" formuły jałtańskiej, zadawały kłam samej zasadzie "wolnych i niekrępowanych wyborów". Okazało się, że w Poczdamie, a być może już wcześniej, postanowiono z góry wyeliminować z życia politycznego Polski jałtańskiej całe wielkie obozy polityczne, cieszące się poparciem szerokich rzesz społeczeństwa i szczególnie zasłużone w walce z niemieckim najeźdźcą. Na krótko zaś przedtem przywódcy najsilniejszego w czasie ostatniej wojny Ruchu Oporu — ruchu, który oddał tak wielkie usługi sprawie sprzymierzonych, szczególnie zaś Związku Sowieckiego, — zostali uwięzieni i padli ofiarą "procesu", będącego jawnym szyderstwem z zasad prawa i słuszności. Trudno o bardziej bolesny symbol jałtańskiej rzeczywistości, jak dzień, w którym Mikołajczyk zasiadł w Moskwie do obrad nad "rozszerzeniem" komitetu lubelskiego, w niedalekim zaś Domu Sowietów toczyła się równocześnie "rozprawa" przeciw przywódcom walki narodu polskiego z Niemcami.

Dalszy rozwój sytuacji wykazał ponad wszelką wątpliwość, że grupa, która otrzymała z rąk cudzych władzę w Polsce, nie tylko nie jest skłonna władzy tej dzielić z kimkolwiek, choćby w niewielkim stopniu, ale że przy pomocy terroru i wymuszenia zdecydowana jest zlikwidować wszystkie samodzielne ośrodki polityczne w kraju. Nie dopuszczono do podjęcia działalności przez niezależne polskie stronnictwa, zmonopolizowano prasę, niszcząc w tym zakresie ciągłość polskiego dorobku kulturalnego co najmniej ostatnich stu pięćdziesięciu lat, wprowadzono system szpiclostwa i prowokacji policyjnej najgorszego typu, zapełniono więzienia i obozy koncentracyjne, a stronnictwu Mikołajczyka wyznaczono skromną rolę jednego z sześciu ugrupowań rządowych, z których cztery — obecnie zaś, po "wyczyszczeniu" Stronnictwa Pracy, nawet pięć — są po prostu sekcjami funkcyjnymi partii komunistycznej. W praktyce zresztą ugrupowaniu Mikołajczyka — mimo jego całkowitej uległości wobec reżimu — przypadły, jeśli chodzi o wpływy w rządzie, w instytucjach państwowych i społecznych, a nawet w przydziale papieru na nieliczne publikacje P.S.L. — tylko ochłapy.

Ostatnio londyński *Times* przyniósł osobliwą wiadomość o nowych rokowaniach na temat "bloku wyborczego" między Polskim Stronnictwem Ludowym a P.P.R. i rządową P.P.S. Ponoć wysunięta została nowa koncepcja, wedle której P.S.L. miałoby zrezygnować z wystawienia swych kandydatur po miastach oraz na całym obszarze odzyskanych ziem zachodnich i ograniczyć się w akcji wyborczej do części okręgów wiejskich w dawnych granicach państwa. W konsekwencji uzyskałoby ono nie więcej niż 26-27 procent ogółu mandatów, reszta zaś, to jest około trzech czwartych, przypadłaby komunistom, występującym pod różnymi szyldami.

O koncepcji tej autor artykułu w *Times'ie* pisze z wyraźną aprobatą, która stanowi osobliwy komentarz do not angielskiej i amerykańskiej z dnia 19 sierpnia rb. Widocznie dziennikowi londyńskiemu odpowiada stan rzeczy, w którym rządy komunistyczne w Polsce, sprawowane wbrew woli ogromnej większości narodu, uzyskałyby formalną "sankcję" jakichś częściowych "wyborów". Nie wiadomo jeszcze, jak się zakończy cała ta niegodna komedia — być może, że Mikołajczykowi przyznane zostaną w zamian za pomoc w stworzeniu pozorów nieco "lepsze" warunki. Nie zmieni to wszakże istoty położenia w Polsce. Widać już jasno, do czego doprowadziła droga, wiodąca od Jałty, Moskwy i Poczdamu — czy jednak można było spodziewać się innego obrotu rzeczy?

W swym oświadczeniu, wydanym dnia 13 lutego 1945 r., bezpośrednio po ogłoszeniu uchwał jałtańskich, Rząd Rzeczypospolitej stwierdził, że ani nie może uznać tych uchwał, ani też nie mogą one obowiązywać Narodu Polskiego. W artykule zaś, określającym stanowisko Stronnictwa Narodowego, który ukazał się w *Myśli Polskiej* z dnia 25 lipca r. ub., podkreślono, że Polska jest okupowana i rządzona przez najazd, oraz że w Jałcie i Moskwie nastąpiło poddanie Polski Rosji Sowieckiej, a nie porozumienie polsko-rosyjskie. Wydarzenia ostatniego roku prawdę tych stwierdzeń w pełni zadokumentowały.

W siódmą rocznicę najazdu Hitlera i w rok z górą po pogromie Niemiec Polska jest nadal w niewoli, niewładna żyć własnym naprawdę życiem, ani decydować o swych losach, a wielu jej najlepszych synów cierpi dalej brutalne prześladowania. Faktu tego zmienić nie może najbardziej hałaśliwa propaganda, ani steki oszczerstw. Stanowi on hańbę cywilizacji naszego wieku i najbardziej bodaj widomy przejaw jej moralnego upadku.

MICHAŁ STACHNIK

STRATEGIA I TAKTYKA MOSKWY

DOKTRYNA KATASTROF

U PODSTAW ogólnej koncepcji rosyjskiej polityki zagranicznej leży dotryna katastrof, będących organiczną konsekwencją istniejącego w świecie systemu kapitalistycznego. Doktryna ta była sformułowana przez Lenina, a następnie rozwinięta przez Stalina. Posiada ona różne rozgałęzienia. A więc, na przykład, kryzysy nadprodukcji są jednym z przejawów działania systemu kapitalistycznego i katastrof, które on ściąga na świat. System kapitalistyczny ma w sobie zarodki swej przyszłej śmierci. Okresowe kryzysy tego systemu są dowodem jego rozkładu i zapowiedzią przyszłego upadku.

Wojny światowe są również konsekwencją istnienia w świecie systemu kapitalistycznego. Na jedno z odgałęzień sowieckiej doktryny katastroficznej pragnę zwrócić szczególną uwagę, a mianowicie na to odgałęzienie, które posiada najbardziej bezpośredni związek z przyczynami wojny światowej (chociaż niewątpliwie i inne odgałęzienia tej doktryny prowadzą do wniosku, że system kapitalistyczny, ze swoimi organicznymi wadami i róźnymi przejawami przyrodzonego katastrofizmu, prowadzi różnymi drogami, lecz zawsze do wojen).

Pojęcie kryzysu "przestrzennego kapitalizmu" jest właśnie punktem wyjścia określenia głównej przyczyny wojen światowych. Pojęcie to jest zresztą znane nie tylko z teorii sowieckiej. Bardzo było ono popularne w poglądach "teoretyków" hitleryzmu. Na przykład spotykamy się z nim i u Gotfrieda Federa i nawet u Ernsta Wagemanna.*) Chodzi o to, że glob ziemski został zagospodarowany przez istniejące główne ośrodki systemu kapitalistycznego, które eksploatują istniejące zasoby naturalne w świecie, a to pociąga za sobą według teoretyków hitlerowtkich i sowieckich następujące konsekwencje: 1) hitlerowcy kładą główny nacisk na fakt pozbawienia narodów ubogich, a dynamicznych, możliwości rozwojowych z powodu opanowania przez nieliczne potęgi kapitalistyczne (Anglia, Francja, Holandia itp.) przestrzeni i surowców; skutkiem tego narody ubogie a dynamiczne muszą imać się wojen, aby zapewnić sobie przestrzeń życiową i surowce; 2) Rosjanie kładą znów główny nacisk na fakt wzajemnego pożerania się potęg kapitalistycznych, gdyż każda z nich — w braku możliwości opanowania wolnych obszarów — dąży do odebrania przestrzeni i surowców innej potędze. W przemówieniu w dniu 9 lutego 1946 r. Stalin przypomniał ten doktrynalny punkt widzenia:

"*Sprawa polega na tym* — mówił — *że nierównomierność rozwoju krajów kapitalistycznych zwykle doprowadza z biegiem czasu do poważnego naruszenia równowagi w ramach światowego systemu kapitalizmu, przy czym ta grupa krajów kapitalistycznych, która uważa, że jest w gorszej sytuacji pod względem surowców czy rynków zbytu, zwykle robi starania o zmianę tej sytuacji i ponowny podział 'sfer wpływów' na swoją korzyść w drodze użycia siły zbrojnej. W rezultacie tego występuje rozłam kapitalistycznego świata na dwa wrogie obozy i wojna pomiędzy nimi . . . W taki sposób w rezultacie pierwszego kryzysu kapitalistycznego systemu gospodarki światowej wynikła pierwsza wojna światowa, w rezultacie drugiego kryzysu — druga wojna światowa.*" (Według "Mirowoje choziajstwo i mirowaja politika," *nr.* 4 — 5, 1946).

Ograniczony rozmiar tego artykułu nie pozwala na wyczerpującą i bogatą w cytaty charakterystykę tej rosyjskiej doktryny katastrof. Pozostaje zwrócić uwagę na główne wnioski, jakie wyciągają z niej dziś polityczy rosyjscy.

Ostatnia wojna pozostawiła na placu dwa kraje kapitalistyczne — Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię. Inne są tak słabe, że nie wchodzą w grę jako źródła tendencji zaboru przestrzeni i surowców. Zgodnie z doktryną katastrof powinien wystąpić pomiędzy nimi konflikt, którego ofiarą padnie prawdopodobnie Imperium Brytyjskie. Wtedy nastąpi moment decydujący dla Związku Sowieckiego, a mianowicie moment rozprawy ze Stanami Zjednoczonymi.

Tak by się przedstawiał ogólny wniosek z doktryny katastrof w sprawie kierunku rozwoju konfliktów światowych w przyszłości. Można jednak wnioskować z wywodów pisarzy sowieckich, że przyjmowali oni prawdopobieństwo rozkładu Imperium Brytyjskiego bez wojny, wskutek trudności gospodarczych i narodowych sił odśrodkowych wewnątrz Imperium Brytyjskiego. Aby nie być gołosłownym powołam się na szereg artykułów, opublikowanych w ciągu paru ubiegłych miesięcy w czasopiśmie *Nowoje Wremia*, gdzie przejawy "kryzysu brytyjskiego" były chwytane z radością na gorąco.

Zdaje się, że i od tego wariantu polityczy sowieccy musieli ostatnio odstąpić, o czym będzie później mowa. W każdym razie bez względu na to, czy wystąpi jeszcze, jako etap pośredni, konflikt amerykańsko–brytyjski albo upadek pokojowy Imperium Brytyjskiego, zbliża się ich zdaniem ostatnia faza rozprawy z kapitalizmem w świecie, w której z jednej strony będzie występował Związek Sowiecki, z drugiej strony — pozostałe państwa kapitalistyczne. Fakt, że zmalała do minimum liczba potęg kapitalistycznych w świecie, sprawia, iż ostrze kapitalizmu światowego skierowuje się coraz bardziej na Związek Sowiecki: zabrakło ofiar we własnej "rodzinie" kapitalistycznej; walka w obozie kapitalistycznym, która przygotowywała nieuchronnie grunt pod rewelocję światową, traci rację bytu; walka ta z obozu kapitalistycznego przeniesie się na zewnątrz, przerodzi się w konflikt sowiecko-kapitalistyczny.

"*W ten sposób* — pisze publicysta Liemnin w cytowanym numerze "Mirowoje choziajstwo i mirowaja politika"—"*pomimo zwycięstwa obozu demokratycznego nad obozem faszystowskim nie można uważać, aby zostały usunięte te podstawowe przyczyny, które wywołują wojny. Imperialistyczne zaborcze tendencje istnieją nadal w powojennym świecie. Są one podsycane dalszym zaostrzeniem się nierównomierności rozwoju we współczesnej nam epoce. Są podsycane dalszym zaostrzeniem się walki o rynki, o zabezpieczenie sytuacji kapitału w sposób wojskowy i polityczny. Kapitalizm amerykański wstąpił w nowy okres swego rozwoju kapitalistycznego, okres gorączkowej gonitwy za nowymi rynkami i sferami wpływów. Tendencje imperialistyczne są ożywione ślepą nienawiścią reakcyjnych elementów do wzrastających sił demokracji w Europie, ślepą nienawiścią do Związku Sowieckiego ....*"

CEL GŁÓWNY A CELE TAKTYCZNE

W swojej znakomitej książce o Sowietach William C. Bullitt pisze:

"*Ci, którzy narzekają, że sowiecka polityka zagraniczna jest niekonsekwentna i nieobliczalna, mieszają strategię i taktykę z celami. Rząd sowiecki wytrwale zmierza do swojego celu, zmienia jednakże strategię i taktykę, podobnie jak to czyni dobry sztab główny, maskując swe plany i przegrupowując siły. Porównuje on dokładnie swoją siłę i słabość z siłą i słabością państw niekomunistycznych. Gdy czuje, że może uderzyć skutecznie — uderza.*

"*Ustanowienie dykatury komunistycznej w całym świecie według nauki komunistycznej może być osiągnięte w dwojaki sposób:*

"1. *przez walkę klasową, czyli rewolucję wewnątrz państw niekomunistycznych i 'likwidację' wszystkich klas z wyjątkiem proletariatu;*

"2. *przez podbój przez Związek Sowiecki sąsiadujących państw niekomunistycznych, po którym następuje albo aneksja, albo ustanowienie marionetkowych rządów, kierowanych z Moskwy*".

Bullitt przytacza sześć okresów w rosyjskiej polityce zagranicznej od momentu opanowania władzy w Rosji przez bolszewików, z których każdy wyróżnia się innymi warunkami zbliżania się do celu ostatecznego: zapanowania komunizmu w świecie.

W innej, również znakomitej, książce o Rosji, a mianowicie w książce Davida J. Dallina pt. *The Real Soviet Russia*, która ukazała się parę lat temu, także znajdujemy zwrócenie uwagi na to ważne rozróżnienie niezmiennego celu głównego i elastycznej strategii i taktyki.

W ogóle wszyscy poważni znawcy stosunków rosyjskich twierdzą kategorycznie, że teza "komunizm w jednym kraju" jest tezą taktyczną —przejściową. Nigdy natomiast Rosja nie zrezygnowała z celu ostatecznego — zapanowania komunizmu w świecie. Publicystyka rosyjska po wojnie w pełni potwierdza, powiedziałbym potwierdza w sposób oczywisty i dobitny, ten właśnie pogląd.

W okresie przyjaźni rosyjsko-niemieckiej, 1939-1941, Rosja liczyła na wykrwawienie się państw kapitalistycznych i na ułatwione w następstwie tego dalsze rozprawy ze światem kapitalistycznym. Nadzieje na nowe konflikty w ramach świata kapitalistycznego występują również i po tej wojnie. Słowem, w związku z teorią o nieuchronności katastrof, jakie niesie ze sobą system kapitalistyczny, polityczy rosyjscy bardzo liczyli na "samopożeranie się" świata kapitalistycznego i spodziewali się że to "samopożeranie się" bardzo ułatwi żniwo komunizmowi.

OCENA POWOJENNEJ SYTUACJI

Można było zaobserwować w okresie zawieszenia pomocy amerykańskiej dla Wielkiej Brytanii z tytułu "Lease-Lend", a następnie w okresie rokowań o pożyczkę amerykańską dla Wielkiej Brytanii i dyskusji w sprawie tej pożyczki w kołach amerykańskich, że Rosjanie mieli jeszcze nadzieję, iż nieporozumienia anglo-amerykańskie będą się zwiększały i że te dwa kolosy anglosaskie będą się przez dłuższy czas oddalały od siebie. Jeśli nie wojna anglo-amerykańska, to co najmniej brak współpracy i wzajemne podstawianie sobie nóg, głównie w stosunkach gospodarczych ze światem — taka była niekrępowana

* Wykład tej teorii znajdujemy między innymi w pracy przesiąkniętej duchem hitlerowskim prof. Ferdynanda Frieda (cytuję według przekładu francuskiego): *Le Tournant de l'Economie Mondiale.*

nadzieja polityków sowieckich. Okazało się jednak, że życie nie koniecznie musi być wierne teorii. Rosjanie robili wszystko, aby zarówno na gruncie amerykańskim jak i na gruncie angielskim do głosu w ocenie stosunków anglo-amerykańskich doszły emocje, by obraz istotnego interesu został przesłonięty mirażem. Churchill zaczął być nienawidzony przez opinię rosyjską nie tyle z powodu swojej mowy w Fulton, ile z powodu roli, jaką odegrał podczas swego pobytu w Ameryce w dziedzinie uświadomienia społeczeństwu amerykańskiemu znaczenia solidarności krajów anglosaskich.

Przypominamy sobie, że jeszcze niedawno Rosja zdobywała się na przyjazne uśmiechy wobec Stanów Zjednoczonych, mniej natomiast ukrywała nieprzyjazny stosunek wobec Wielkiej Brytanii. Moskwa pragnęła, aby w przyszłej — nieuniknionej i ostatecznej, według jej zdania—rozprawie z kapitalizmem mieć do czynienia tylko z jednym przeciwnikiem. W prognozach swoich przyjmowała zresztą wariant, o czym już wspominałem, że nastąpi pokojowy rozkład Imperium Brytyjskiego. Ten wariant nie został zarzucony i Rosją mobilizuje dotychczas wszelkie siły, których ekspansja sprzyjałaby rozkładowi Imperium. Na przykład pędzi ona nielegalną emigrację Żydów do Palestyny i współdziała bardzo energicznie i ofiarnie w organizacji tej emigracji.

Trudności ekonomiczne, na jakie będą napotykały po wojnie kraje anglosaskie, powinny być — zdaniem Rosji — nie do przezwyciężenia. Stany Zjednoczone bez wielkiej ekspansji eksportowej, połączonej z wielką ekspansją w dziedzinie inwestycji zagranicznych, nie unikną potwornego kryzysu. Wielka Brytania znajduje się w tej samej sytuacji z tym, że zanim zacznie rozwijać eksport musi uzyskać amerykańską pomoc finansową, a ponad to Wielka Brytania nie może odgrywać nadal roli wielkiego wierzyciela i inwestora w świecie. Zrobienie wszystkiego, aby utrudnić światową współpracę gospodarczą, jest jednym z głównych zadań Rosji i sowieckich "piątych kolumn". O ile międzynarodowa współpraca gospodarcza nie będzie się rozwijała, kraje anglosaskie w bardzo krókim czasie wejdą na drogę katastrofy, pociągając za sobą inne kraje kapitalistyczne — satelitów w systemach gospodarczych amerykańskim i angielskim.

ROZCZAROWANIE

Niewątpliwie dużym rozczarowaniem dla Rosji było zacieśnianie się współpracy anglo-amerykańskiej zamiast spodziewanego coraz większego psucia się stosunków pomiędzy tymi krajami. W cytowanym już artykule Liemnina o dwóch kryzysach w systemie kapitalistycznym autor poświęca temu rozczarowaniu sporo miejsca: nie jest tak źle, jak być powinno. Na przykład pisze:

"*W świecie kapitalistycznym nierównomierność rozwoju doprowadziła do tego, że faktycznie pozostały dwa państwa, nadające ton w życiu międzynarodowym — Stany Zjednoczone i Anglia. Przeciwności pomiędzy nimi, przedtem przysłonięte ogólnym niebezpieczeństwem (zagrożeniem) ze strony państw Osi, wyszły teraz na zewnątrz i znów stały się głównymi sprzecznościami wewnątrz świata kapitalistycznego. Lecz cecha szczególna tych sprzeczności polega na tym, że rozwijają się one w ciasnych ramach współpracy w dziedzinie ekonomicznej i dyplomatycznej. Stąd dążenia do rozstrzygnięcia tych sprzeczności kosztem innych krajów. Problem wzajemnego stosunku dwóch systemów (to znaczy sowieckiego do kapitalistycznego i odwrotnie — nasz przyp.) znów stał się decydującym zagadnieniem międzynarodowej polityki*".

Formuła częściowo mętna, ponieważ nie wiadomo, dlaczego Anglosasi mieliby regulować swoje nieporozumienia kosztem Związku Sowieckiego. Natomiast wynika z niej jasno, że zamiast spodziewanego konfliktu anglo-amerykańskiego występuje nieoczekiwana faza procesu historycznego — zbliża się konflikt sowiecko-anglosaski. Słowem wygląda, jakby miało być opuszczone jedno z ogniw procesu historycznego, przepowiedzianego przez Lenina i Stalina. Trzeba dodać, że ta formuła, zaczerpnięta z artykułu Liemnina, powtarza się w wielu, wielu innych artykułach *Bolszewika*, *Propagandista*, *Prawdy*, *Nowoje Wremia* itd. Zbliżający się konflikt sowiecko-anglosaski jest nową wytyczną strategii i taktyki w rosyjskiej polityce zagranicznej.

Drugim rozczarowaniem jest niespodziewana żywotność Imperium Brytyjskiego. Doprowadza ona do pasji publicystów rosyjskich. Tak na przykład, we wstępnym artykule w numerze czerwcowym czasopisma *Bolszewik* (jest to organ centralny Centralnego Komitetu Wszechrosyjskiej Partii Komunistycznej bolszewików), zapowiadającym zbliżający się konflikt sowiecko-anglosaski, znajdujemy następujące stwierdzenie:

"*Walcząc o wzmocnienie i rozszerzenie swego kolonialnego imperium angielskie koła imperialistyczne wykazują wyjątkową zwinność. Biorąc pod uwagę postęp, jaki dokonał się w uświadomieniu kolonialnych narodów, będący wynikiem wyzwoleńczej, anty-faszystowskiej wojny, angielscy imperialiści uciekają się obecnie do nowych, bardziej zamaskowanych form ekspansji*".

Istnieje również trzecie rozczarowanie. Daje się wyczuć w publicystyce rosyjskiej zawód, że w dziedzinie gospodarki anglosaskiej nie jest tak źle, jak przypuszczano, że będzie. Wprost przeciwnie, dźwiga się ona jakoś: zamiast powojennej równi pochyłej są do zanotowania wyraźne powodzenia. Wydobywają się również z powojennych trudności kraje kontynentalne Europy zachodniej. I to wszystko dzieje się pomimo, że Rosja — jak jej się zdawało — zniszczyła światowy system gospodarczy naczyń połączonych. Nawet bez ogarniętych wojną domową Chin, bez europejskiej Strefy Środkowej, bez wielu, wielu przedwojennych "rezerwatów" kapitalizmu, gospodarka anglosaska nie zamierza jeszcze ogłaszać bankructwa.

Wszystkie te rozczarowania prowadzą do wniosku, że dotychczasowa prognoza historyczna zawiodła, że może już bez faz pośrednich zbliża się walna rozprawa o ostateczne zapanowanie komunizmu na świecie.

NI WOJNY NI POKOJU

W ostatnim numerze wychodzącego w Stanach Zjednoczonych organu prasowego rosyjskiej Socjalno — Demokratycznej Partii Robotniczej, *Socjalisticzeskim Wiestniku*, R. Abramowicz daje bardzo trafną ocenę obecnego etapu taktyki sowieckiej:

"*Ni wojny, ni pokoju — ten slogan Trockiego z okresu Pokoju Brzeskiego — został obecnie przyjęty, prawie po trzydziestu latach i w nieskończenie bardziej 'planetarnej skali', przez jego wielkiego antagonistę (i moralnego zabójcę) — generalissimusa Stalina*".

Stan "ni wojny ni pokoju" jest niewątpliwie stanem, który chce utrzymać polityka rosyjska. Stan taki sprzyja Rosji — bez względu na to, jakie postacie przybierze przyszły konflikt, który tak zdecydowanie przepowiadają politycy rosyjscy. Ów stan rzeczy, niepokój i niepewność, stwarza atmosferę dla działalności "piątych kolumn", oraz ułatwia mobilizowanie mas wokoło haseł zagrożenia ich interesów klasowych lub narodowych przez państwa anglosaskie. Nie potrzebuję wyliczać tego, co i gdzie robi "piąta kolumna", gdyż fakty te są na ogół dobrze znane. Warto jednak zauważyć, że zadziwiające jest zaufanie Rosji do naiwności i pierwotności umysłów ludzkich. Jeśli z lamusa chwytów politycznych Rosji carskiej zostały wyciągnięte hasła panslawizmu, a opiniami polityków anglosaskich, rzekomo świadczącymi o zagrożeniu Słowiańszczyzny przez Anglosasów (zob. *Nowoje Wremia*, nr. 9 z 1 maja br.), straszy się Słowian i liczy się na ich mobilizację po stronie rosyjskiej w przyszłym konflikcie, jakże naiwne i prostackie muszą być albo umysły Słowian, albo polityków rosyjskich. Ale — *faute de mieux* — skoro zawiodła konsekwencja materializmu dziejowego, dobry jest i rasizm. Dobra jest również misja dziejowa Kościoła Prawosławnego ....

POGOTOWIE LECZ I TRUDNOŚCI WEWNĘTRZNE

W konkluzji należy przyjąć, że w poglądach rosyjskich na przyszłość nastąpił w ostatnich miesiącach bardzo poważny i decydujący zwrot: zaczęła być uświadamiana sobie ewentualność rozprawy bezpośredniej — bez faz pośrednich — ze światem kapitalistycznym o panowanie komunizmu. Może zachodzić konieczność dość prędkiego podjęcia tej rozprawy. Przemawiają za tym dwa argumenty.

Po pierwsze, świat kapitalistyczny zaczyna wykazywać — pomimo wszystko — więcej skłonności do konsolidacji, aniżeli do rozkładu. Fala powojennego *malaise* może minąć bezpowrotnie. Rozprawa może stawać się coraz trudniejsza. Wydaje się, z drugiej strony, nie do pomyślenia okopanie się obu obozów na zajętych pozycjach i czekanie. Stalin ma pewne zobowiązania moralne wobec ludzkości dania światu systemu komunistycznego. Sądzę, że poczuwa się do tych obowiązków.

Po drugie, również *malaise*, lecz innego charakteru i raczej w przypływie, występuje w Rosji. Od czasów słynnych "czystek" trockistowskich i tym podobnych nie było tylu narzekań w prasie rosyjskiej na nieróbstwo, brak dyscypliny, miazmaty reakcjonizmu w umysłowości rosyjskiej itp., jak obecnie. Realizacja nowego planu pięcioletniego budzi niepokoje. Rosjanie za granicą, obserwujący z zainteresowaniem życie swego kraju, i cudzoziemcy, znawcy stosunków rosyjskich, twierdzą, że nigdy jeszcze w erze bolszewizmu nie było tak wielkiej przegrody pomiędzy władzą a narodem, jak obecnie. I nic nie pomaga ciągłe odwoływanie się do trwogi przed zagrożeniem narodu sowieckiego z zewnątrz — trwogi, której zawsze tak pełno w duszy rosyjskiej. Rząd rosyjski widzi przed sobą więcej trudności natury materialnej i psychicznej niż jest ich obecnie.

I chociaż Rosja nie posiada jeszcze ani dostatecznie silnej floty, ani dostatecznie silnego lotnictwa, ani wielu innych rzeczy potrzebnych, aby usprawiedliwić decyzję konfliktu, to jednak decyzja ta może już dojrzewać w umysłach polityków rosyjskich, a to wobec tego, że szanse zwycięstwa mogą być w niedalekiej przyszłości — pomimo wszystko — większe. Jest to sytuacja, w której może zagrać jeden z ważnych elementów psychiki rosyjskiej, element ryzyka, tak długo hamowany zbytnią kalkulacją i ostrożnością. Wyzwoleniu tego elementu sprzyja pycha zwycięstw nad Niemcami — dziś jeszcze bardzo świeża. Może więc — choć nie musi — paść hasło *naprolom* (przełomem, przebojem).

MICHAŁ STACHNIK

A. TOMICKI

KWESTIA NIEMIECKA

(Dokończenie)

JAKA jest sytuacja dzisiejsza Niemiec w świetle tych rozważań? Jak wspomnieliśmy, państwa anglosaskie rozumieją, jak się zdaje, konieczność zdecentralizowania Niemiec i nawet rozbicia Prus. Według dotychczasowych wiadomości mają one zamiar stworzenia z Niemłec federacji kilku krajów, nawracając w ten sposób do ich dawnego federalnego ustroju. Ale nie rozumieją one jeszcze dokładnie, że Prusy nie tylko są krajem — bo wtedy zadanie byłoby stosunkowo proste — ale są "zasadą", wywodzącą się z najgłębszej istoty ducha niemieckiego i zawsze grożącą odrodzeniem. Ta zasada, jak uczy historia, wcielała się zawsze najlepiej w kraje kolonizowane przez Niemców na Wschodzie, i wracając od Wschodu obejmowała całe Niemcy. Opór, który państwa anglosaskie stawiają ustaleniu granicy polskiej na Odrze, jest dowodem tego nieporozumienia. Może on wyniki całej ich polityki federacyjnej postawić pod znakiem zapytania.

Z drugiej strony istnieje polityka rosyjska, przeciwstawiająca się polityce anglosaskiej. Rosja zapuściła pomiędzy częścią Niemiec przez siebie okupowaną a częściami okupowanymi przez Anglosasów i Francję słynną "żelazną kurtynę". O polityce federacyjnej tam głucho. Cele polityki rosyjskiej w stosunku do Niemiec, jak zresztą w stosunku do wszystkich innych zagadnień, różnią się zupełnie od celów państw zachodnich. Nie wahamy się stwierdzić, że opanowawszy właśnie wschodnie Niemcy, Rosja raczej myśli o Niemcach nie zróżniczkowanych, ale ponownie zcentralizowanych i zjednoczonych w rozumieniu swojej koncepcji ustrojowej i światopoglądowej. I rzecz kapitalna, że dzisiaj znowu wschód Niemiec, urabiany przez Rosję jako jednolite ciało, w zamiarach polityki rosyjskiej stać się ma punktem wyjścia zjednoczenia Niemiec, tym razem w duchu bolszewickim. Wschód Niemiec podjąłby wtedy raz jeszcze swoje historyczne zadanie jednoczące i centralizacyjne, na razie z ramienia Rosji. Istnieje w tym kierunku dużo przesłanek i więcej niż się myśli pokrewieństw i historycznych danych.

Stwierdźmy tylko jedno: "zasada pruska" — *Preussen als Prinzip* — nie jest przede wszystkim tak bardzo różna, jakby się mogło wydawać, od zasad, którymi się rządzi Rosja bolszewicka. Niezmiernie wiele pokrewieństw wykazywały zawsze i wykazują nadal bolszewizm i hitleryzm i jako światopogląd i jako metoda. Swego czasu narodowy socjalizm po swoim zwycięstwie chętnie widział wstępowanie mas komunistycznych w swoje szeregi, broniąc się tylko przed wszelkiego rodzaju demokratami. Dzisiaj na odwrót dowództwo komunistów niemieckich rzuciło hasło, że należy wchłaniać dawne masy hitlerowskie, zniszczywszy tylko konkurencyjną warstwę przywódców, i to jeszcze nie wszystkich. Urobienie psychiczne, urobienie człowieka przez hitleryzm zdaniem komunistów predysponuje do komunizmu. Poszczególne dogmaty posiadają mniejsze znaczenie i łatwo je można zastąpić, tym bardziej, że mimo pozornych różnic istnieje często wewnętrzne pokrewieństwo. Zresztą zarówno dowództwo bolszewickie jak i hitlerowskie przyzwyczaiło masy do zupełnie niespodziewanych zmian i zwrotów, podtrzymując jako rzecz niezmienną tylko urobienie typu człowieka, a ten typ jest właśnie prawie że identyczny w obu prądach. Znajomość historii stosunków rosyjsko-niemieckich, a przede wszystkim ciągłego nawrotu do porozumień prusko-rosyjskich nie wygasła też zgoła w Niemczech — i nie wygasła także w Rosji. Byłoby wielkim błędem, gdyby się o tym choćby na chwilę zapomniało. Pierwiastek pruski w Niemczech wyraźnie o tych porozumieniach myśli również dzisiaj — i gotów jest na daleko idące socjalne przystosowanie się w tej nadziei, że wytworzy ono warunki przymierza i odrodzenia. O tym, że w takim razie przyznane Polsce wschodnie ziemie wróciłyby znowu do Niemiec, w kołach zarówno komunistów niemieckich jak i w kołach typowo pruskich mówi się prawie otwarcie. Mówi się nawet o nowym rozbiorze Polski między komunistyczną Rosję i komunistyczne Niemcy, jak o tym niedawno pisał wyraźnie szwajcarski tygodnik *Die Weltwoche*. Pisał o tym również znany publicysta amerykański Walter Lippmann, a w *Le Monde* z 16 kwietnia 1946 r. długoletni korespondent *Le Temps* w Berlinie, a obecnie wybitny współpracownik *Le Monde* René Lauret w artykule, datowanym z Berlina, pod tytułem *La Fusion Socialo-Communiste*, przytacza oświadczenie, które wypowiedział do niego wiceprezydent partii socjalistycznej Fechner:

> "Mówi się u was o zachodniej granicy Niemiec, która miałaby być, jak się twierdzi, zmieniona, ponieważ już to się stało z naszą granicą wschodnią. W przeciwieństwie do tego, co się przypuszcza, nie jest to prawda. Linia wykreślona w Poczdamie jest tylko projektem. Mamy dobre powody do przypuszczenia, że nie jest ona wcale definitywna. Niech mi Pan wierzy, że Rosja bardziej interesuje się Niemcami niż Polską."

Zdanie powyższe René Lauret podaje w swoim artykule w cudzysłowie, jako dosłowne oświadczenie swego rozmówcy. Nie zapominajmy poza tym, że rozprawa między bolszewizmem a hitleryzmem była między innymi rozprawą między dwiema konkurencyjnymi odnogami tego samego w istocie prądu dziejowego. Chodziło o to, kto ostatecznie obejmie dowództwo. Hitleryzm przegrał. Sprawa konkurencji przestała być wobec tego aktualna. Na horyzoncie pozostało już tylko jedno kierownictwo, a w Niemczech zjawiają się pomysły narodowego bolszewizmu.

Niemcy zorganizowane i zjednoczone przez "Prusy jako zasadę" na podstawie pokrewnej hitleryzmowi zasady bolszewickiej z jednej strony, oraz z drugiej strony Niemcy jako demokratyczna federacja antypruska, oto właściwe przeciwstawienie pojęć i koncepcyj, jakie się zaznaczają w polityce niedawnych aliantów w stosunku do Niemiec. Polityka Moskwy zmierza wyraźnie do stworzenia ze wschodu Niemiec bastionu, z którego może wyjść ponownie unifikacja i centralizacja Niemiec. "Prusy jako zasada" przybrałyby tym razem postać nie hohenzollernowską, ani nawet hitlerowską, ale po prostu bolszewicką, a ściślej się wyraziwszy narodowo-bolszewicką (*Nationalbolschewismus*). Wyrazicielami tej zasady byłyby zarówno masy hitlerowskie, jak i koła typowo pruskie, a także oczywiście masy komunistyczne, objęte zunifikowaną niedawno pod naciskiem Rosji partią socjalistyczno-komunistyczną. Te koła już dzisiaj wyraźnie wysuwają plany odebrania Polsce ziem zachodnich i zniesienia granicy Odry.

Dlatego właśnie, śledząc politykę rosyjską w sprawie Niemiec, szczerość Rosji w sprawie granic Odry wydaje się wątpliwa, i to tym bardziej, że istnieje jeszcze jedna wielka różnica między polityką Zachodu w stosunku do Niemiec, a polityką rosyjską. Zachód niewątpliwie zmierza do tego, ażeby znaleźć takie rozwiązanie, które by ustabilizowało stosunki w Europie i pozwoliło wreszcie na zapanowanie upragnionego pokoju. Rosja natomiast w każdym swoim posunięciu zdradza wyraźnie dla każdego, kto w ogóle umie patrzeć, że stabilizacji tej wcale nie pragnie, ale przygotowuje dalszy pochód i rozwój rewolucyjny, którego cele przez długi jeszcze okres czasu nie pozwolą światu na stabilizację i pokój. Stąd też polityka Rosji w sprawie Niemiec nie zmierza do stabilizacji, ale do stworzenia dalszej bramy wypadowej. Granice w tych warunkach mogą być dzisiaj potrzebne takie, a jutro inne. Cała koncepcja świata i urządzenia świata jest w polityce rosyjskiej inna niż na Zachodzie, i tak samo oczywiście koncepcja ułożenia się stosunków między narodami. Narody i państwa poszczególne są dla Rosji o tyle ważne, o ile można im wyznaczyć cel w urzeczywistnianiu dalszych postępów rewolucji światowej. Mogą więc być okresy popierania raz tego narodu, drugi raz innego, z punktu widzenia ich użyteczności dla zamierzonego przewrotu. W taktyce bolszewickiej można łatwo sobie wyobrazić—i zresztą Lenin i Stalin napisali to wyraźnie w swoich dziełach —, że będzie ona popierała nawet państwa "reakcyjne", gdy w ogólnej grze takie właśnie posunięcia na dalszą metę, czasem nawet na bardzo daleką metę, będzie uważała za korzystne. Uścisk dłoni Stalin-Ribbentrop w 1939 roku wcale nie był niespodzianką dla ludzi, orientujących się w teorii taktyki bolszewickiej.

Fakt więc, że urzeczywistnione w Niemczech "Prusy jako zasada" były również bardzo niebezpieczne dla Rosji i mogłyby się znowu mimo wszystko stać niebezpieczne w przyszłości, nie koniecznie wstrzymałby Rosję, ażeby zasady tej nie poprzeć ponownie, gdyby to jej zdaniem okazało się potrzebne w jej światowej grze rewolucyjnej, a więc gdyby chodziło na przykład o zużycie zjednoczonych od wschodu pod patronatem Rosji

Niemiec jako sprzymierzeńca przeciwko Zachodowi i posunięcie naprzód aż do Atlantyku zasięgu komunizmu. Słusznie czy niesłusznie, nie będziemy tego na tym miejscu rozważali, Rosja czuje się dzisiaj dość silna, ażeby sobie na taką grę pozwolić, aczkolwiek może tu i ówdzie czasem się jeszcze waha. Stanowisko jej w sprawie granic Odry wynikło zapewne z takiej chwili zastanowienia, pomijając już to, że jednak należało dla świata jakiś ekwiwalent Polsce dać w zamian za aneksję jej ziem wschodnich. Czy na długo, to oczywiście rzecz inna.

* * *

Niemcy same w tych warunkach mogą przeżyć dramat wewnętrznego rozdarcia, o którym zresztą tyle zawsze pisali — wyboru między cywilizacją rzymsko-chrześcijańską reprezentowaną przez Zachód, a w samych Niemczech przez te koła, które jeszcze pozostały wierne chrześcijaństwu, a zasadą antyrzymską i antychrześcijańską, którą w samych Niemczech reprezentował Hitler, a dzisiaj najczyściej reprezentuje na świecie właśnie Rosja. Duch prusko-hitlerowski, zasadniczo antychrześcijański, predysponuje Niemców do przymierza z Rosją. Duch ten był zresztą antychrześcijański również w Zakonie Krzyżowym, u samego źródła jego działalności na Wschodzie. Henryk Treitschke podkreśla, że "dzieło wojennego nawracania pogan podjęte zostało w czasach, które wyrosły (*entwuchsen*) już z naiwnej wiary dawnych wieków" i nazywa fakt ten "najbardziej ukrytą nieprawdą państwa zakonnego". Wiadomo jak gwałtownie podjął walkę hitleryzm z kulturą rzymską i chrześcijańską. Tam, gdzie nie zdołał jej wytępić, mogą i dzisiaj powstać jeszcze ośrodki współdziałania z Zachodem. Jak się dla Niemiec samych ten wewnętrzny dramat, ciążący specjalnie silnie nad ich historią od czasów Lutra, ostatecznie zakończy i jak go rozwiążą u siebie, trudno jest przewidzieć. Ale jedno nie ulega wątpliwości, że dramat ten, podjęty przez Hitlera, przetrwał go i zjawia się dzisiaj po jego śmierci w innej tylko postaci.

* * *

Jeżeli chodzi o niebezpieczeństwo niemieckie na przyszłość, pragniemy w naszych rozważaniach poruszyć jeszcze jedną, niezwykle istotną rzecz, która przed wojną nie była właściwie rozumiana, a która i nadal będzie odgrywała dużą rolę. Mamy tu na myśli występujące przed wojną biologiczne osłabienie narodu niemieckiego. Ono to właśnie było jednym z bardzo ważnych motywów, który pchnął Niemców do przyśpieszenia wybuchu wojny i w ogóle do wojny. Może to brzmieć na razie jak paradoks, ale niemniej jest prawdą, chociaż nigdzie jeszcze nie było mowy o tym osłabieniu jako motywie wojny.

A mianowicie uczeni niemieccy stwierdzili na podstawie żmudnych i dokładnych analiz, że wbrew oficjalnym statystykom, które wykazywały jeszcze nadwyżkę urodzin, Niemcy przed wojną przekroczyły już granicę wzrostu ludności i zaczęły się cofać. Stwierdzenie to wśród przywódców hitlerowskich wywarło niesłychane wrażenie. Hasło "naród bez przestrzeni" (*Volk ohne Raum*), którym uzasadniano konieczność zyskania nowych ziem, głoszono wprawdzie nadal dla mas i dla zagranicy, bo ono miało usprawiedliwić wojnę. Tymczasem motyw ten był tylko maską. W istocie wielką rolę w wywołaniu wojny odegrał nie brak przestrzeni, ale na odwrót świadomość, że przestrzeń, zajmowana przez Niemcy, po upływie kilkudziesięciu lat może okazać się nie za mała, ale właśnie za duża. Na brak przestrzeni — o ile w ogóle istniał — lekarstwo było jedno, a mianowicie siedzieć spokojnie i czekać, aż rozpoczęty proces cofania się ludności uwydatni się w praktyce.

Otóż Niemcy przeraziły się tego rozpoczętego procesu cofania się liczby ludności i rozpoczęta wojna była — między innymi, gdyż procesów takich nie można nigdy sprowadzać do jednego mianownika, — gwałtowną reakcją na pojawiające się na horyzoncie niebezpieczeństwo biologicznego osłabienia narodu niemieckiego. Przestrzeń zdobyta nie miała być wcale lekarstwem na przeludnienie, bo na to wcale już potrzebną nie była. Miała ona być, wprost na odwrót, jednym więcej lekarstwem na rozpoczynające się wymieranie ludności — i to lekarstwem w oczach władców Niemiec najskuteczniejszym. Lekarstwo to miało być ukoronowaniem urzeczywistnianego już systematycznie wielkiego programu walki o uzdrowienie życia narodowego i państwowego. Rozszerzenie przestrzeni w myśl rozumowania sztabu hitlerowskiego stwarzało próżnię, mającą w związku z licznymi innymi zarządzeniami, o których tutaj już się rozwodzić nie będziemy, podziałać na rdzeń narodu jako bodziec twórczości biologicznej, czyli po prostu mówiąc rozrodczości. Cała zresztą hitlerowska polityka rasowa, polityka osadnicza i rolna, polityka podatkowa, zdrowotna i obyczajowa, wszystko to zmierzało do stworzenia warunków, które by mogły wpłynąć dodatnio na rozrodczość. Ten cel miała skutecznie osiągnąć polityka kolonizacyjna na rozszerzonej przestrzeni.

Istota zamierzonej przez Hitlera polityki kolonizacyjnej była bowiem zupełnie inna, niż przed wiekami, i tego właściwie nikt dotychczas nie podkreślił. O ile dawniej kolonizacja wynikała z nadmiaru soków żywotnych, które się wylewały na zewnątrz, o tyle tym razem u jej kolebki stał strach przed powolną śmiercią biologiczną. Rozsadzenie dotkniętych już niewidocznymi znakami osłabienia szczepionek niemieckich miało je uzdrowić i pobudzić do ponownego rozwoju i rozrostu. W związku z tym wojna nie była tym razem wynikiem nadmiaru duszących się sił i konieczności ich umieszczenia na nowej ziemi, ale próbą zahamowania rozpoczętego już nieznacznie procesu zanikania, próbą właściwie rozpaczliwą narodu, który poczuł zagrożenie biologiczne, ale który był jeszcze tak silny, że mógł reagować na to niezwykle gwałtownie. Bardzo charakterystyczne światło rzuca na te rzeczy fakt, że Niemcy, duszące się rzekomo z nadmiaru ludności, jednocześnie w krajach okupowanych na Wschodzie porywały dzieci zdrowe i uznane za "rasowo" zdatne do tego, ażeby je wcielić do ich masy biologicznej.

Trzeba przyznać, że polityka rozrodczości, będąca osią wewnętrznej polityki hitlerowskiej, dała już przed wojną dość duże wyniki. Czy byłyby one się utrzymały na dłuższą metę bez zdobycia nowych ziem i przestrzeni? I czy nawet zdobycie tej przestrzeni byłoby rzeczywiście na stałe odwróciło rozpoczęty przed wojną proces biologicznego osłabienia Niemiec? Bardzo jest trudno dzisiaj o tym sądzić. Na ogół sztuczne odmładzanie daje tylko rezultaty chwilowe. W każdym jednak razie nawet podczas wojny ogromne usiłowania Niemiec w celu zapobieżenia szkodliwym skutkom każdej wojny, jeśli chodzi o rozrodczość, nie były bezowocne. Wszystko w Niemczech dostosowywano do tego, ażeby kobiety miały dzieci, ślubne czy nieślubne. W tym ostatnim wypadku opiekę nad nimi obejmowało państwo. Należy stwierdzić, że spadek urodzin wskutek obecnej wojny był w Niemczech tym razem znacznie niższy, niż podczas wojny 1914-1918. Jeżeli dodamy, że Niemcy podczas tej wojny straciły według dotychczasowych obliczeń na polu bitwy oraz na obszarze Rzeszy wskutek bombardowań tylko około 4,2% ludności, podczas gdy straty Polski oblicza się na 13,6% (bez uwzględnienia strat, wywołanych przez oderwanie jej ziem wschodnich), jugosłowiańskie na 10,5%, Grecji na 6,8%, to zobaczymy, że zamiar Niemiec przesunięcia na swoją korzyść stosunku ludności zwłaszcza na Wschodzie został w dużej mierze osiągnięty, i to szczególnie jeżeli chodzi o Polskę. W tej dziedzinie Niemcy, jeżeli jeszcze zupełnie wojny nie wygrały, to w każdym razie odniosły duże zwycięstwo.

O tym również nie należy zapominać, gdy się ocenia skutki wojny i zamierza zapobiec dalszym niemieckim napaściom. W związku z tym znowu wracamy do wschodnich terenów Rzeszy jako terenów kolonizacyjnych, które w ogóle umożliwiły rozrost biologiczny Niemiec, a w dalszym wyniku położyły podwalinę pod ich siłę napastniczą. Dalsze zdobycze na Wschodzie miały być lekarstwem na biologiczne osłabienie Niemiec i przez uzdrowienie i pobudzenie rozrodczości stworzyć z Niemców naród najsilniejszy i najliczniejszy, zdolny do opanowania świata.

Jest więc rzeczą logiczną, że o ile chce się naprawdę uderzyć w niemiecką zdolność do napaści i w niemiecką wolę napaści, uderzenie to powinno przede wszystkim nastąpić na Wschodzie, przez odebranie Niemcom ich ziem wschodnich. I tu znowu wyłania się granica Odry jako najlepsze zabezpieczenie na przyszłość. Uniemożliwi ona bowiem Niemcom politykę kolonizacyjno-populacyjną, która w rozumieniu "Prus jako zasady", ideologii hitlerowskiej i wszelkiej niemieckiej polityki militarnej miała umożliwić Niemcom w przyszłości powstanie tak pożądanych zastępów dla opanowania świata.

Jest to nawet ważniejsze niż odebranie im Zagłębia Ruhry, bo, jak wspominaliśmy, nie dlatego się robi wojnę, że się ma arsenał, choć posiadanie tego arsenału jest konieczne i ma duży wpływ na wzmożenie woli wojennej, ale stwarza się arsenał, gdy się chce prowadzić wojnę. Pierwszym warunkiem jest wola wywołania wojny, drugim dopiero posiadanie broni, bo fabrykowanie broni wynika z woli wojny. Stany Zjednoczone posiadały wszelkie możliwości tworzenia arsenału i to znacznie większe od Niemiec, a nie tworzyły go póki ich do wojny nie zmuszono. Zresztą rzecz zabawna, że Zagłębie Ruhry jako arsenał powstało podczas wojen napoleońskich z inicjatywy Napoleona I, jako skutek blokady, skierowanej przeciwko Anglii. Krupp w r. 1855 stwierdził wobec Napoleona III: "Moje zakłady stworzone zostały w roku 1810 na skutek konkursu, ogłoszonego przez Napoleona I, który obiecywał milion franków fabrykantowi stali lanej, równej stali angielskiej". Jest rzeczą logiczną, że Prusy, wcielając niemiecką wolę wojny, rozwinęły ten arsenał do olbrzymich rozmiarów.

Należy więc odebrać broń i arsenały, ale przede wszystkim należy pomyśleć o tym, żeby osłabić podstawę, z której wyrasta wola do tworzenia arsenałów, a ta podstawa jest na Wschodzie. Gdy się tej podstawy woli wojennej nie sparaliżuje, będzie ona szukała ciągle i wszędzie środków do tworzenia nowego arsenału, a przy dzisiejszym rozwoju

wiedzy nigdy nie wiadomo, gdzie i jaki arsenał wojenny, może na zupełnie nowych odkryciach oparty, będzie można utworzyć.

Gdyby te rzeczy uwzględniono, jest rzeczą możliwą, że proces biologicznego słabnięcia, który wystąpił w Niemczech przed wojną, a który Hitler chciał zahamować zarówno przez politykę wewnętrzną w samej Rzeszy, jak zwłaszcza przez zdobycie nowej przestrzeni, może wystąpić na nowo. Choć tym razem Niemcy w porównaniu z innymi narodami, które, zwłaszcza na Wschodzie, tępiły wszystkimi, najbardziej nieludzkimi sposobami, poniosły mniejsze straty, wysiłek obydwu wojen (1914-1918 i obecnej) był dla nich ogromny, i to nie tylko fizycznie, ale i psychicznie. Niemcy stoją dzisiaj w obliczu zupełnego duchowego bankructwa. Takie rzeczy mszczą się bardzo i wpływają bardzo silnie na wolę życiową, nie tylko pojedyńczego człowieka, ale i całego narodu. O ile alianci sami nie stworzą znowu podatnych warunków dla odrodzenia się siły niemieckiej, nie jest rzeczą wyłączoną, że Niemcy mimo wszystko wejdą w okres "uspakajania się" biologicznego i na dalszą metę również psychicznego, podobnie, jak w okres taki weszła Francja po wojnach napoleońskich. Nie jest to zmiana charakteru, ale po prostu rozpoczynający się proces starzenia się. Proces ten został przerwany u samego początku przez Hitlera. Czy po załamaniu się jego straszliwej próby odmładzania narodu niemieckiego nie wystąpi on nawet w przyśpieszonym tempie?

Można sobie postawić to pytanie, ale nie można na to liczyć, i to tym bardziej, że nie jest wiadomo, czy zapoznając istotę zagadnienia zwycięzcy nie wyręczą Hitlera w dalszym podtrzymywaniu i zachowywaniu siły biologicznej Niemców. Pamiętajmy również, że "Prusy jako zasada" będą zawsze istniały w narodzie niemieckim jako istotny rys charakteru i jako możliwość, która przejawi się zawsze, gdy tylko warunki na to pozwolą. Na odwrót, gdy te warunki się im odejmie, mogą się właśnie rozwinąć te cechy narodu niemieckiego, które budziły dla niego sympatie w świecie, a których wyrazem byli Goethe i Schiller. Nie należy jednak nigdy zapominać, że z nawrotami "Prus jako zasady" trzeba się liczyć zawsze. Jest rzeczą obojętną, czy nazwiemy tę zasadę krzyżacką, pruską, hitlerowską czy prusko-bolszewicką.

A. TOMICKI.

W dziesięciolecie zgonu rycerza Dobrej Sprawy

ZIELONE MIASTO CHESTERTONA

PODOBNIE jak wielu innych wybitnych pisarzy angielskich Gilbert Keith Chesterton jest dzieckiem Londynu. Urodził się w roku 1874 na przedmieściu Kensington; dzieciństwo i wczesną młodość spędził w domu pod numerem 11 przy ulicy Warwick Gardens. Ojciec Chestertona, typowy wiktoriański businessman był właścicielem agencji mieszkaniowej, pod firmą "Chesterton & Sons", istniejącej do dziś dnia. W domu panowała atmosfera intelektualna zdaje się głównie dzięki matce, Szwajcarce z pochodzenia (nazwisko rodzinne Grosjean), kobiecie obdarzonej niezwykle żywą wyobraźnią.

Gilbert od dzieciństwa zaprawiał się w sztuce polemiki, najpierw na terenie domowym, prowadząc niekończące się dyskusje z bratem Cecilem, z którym później wydawał pismo *Eye Witness* (z czasem pismo to zmieniło nazwę na *New Witness*, a następnie na *G.K.'s Weekly*; jako kontynuacja tychże wychodzi obecnie tygodnik pod nazwą *Weekly Review*). Nieco później czynny był na terenie rozmaitych klubów dyskusyjnych dla młodzieży (*Junior Debating Club*), gdzie jego błyskotliwy dowcip i zamiłowanie do paradoksalnego formułowania myśli znalazły świetne pole do popisu.

W roku 1900 wydana została pierwsza książka Chestertona: zbiór wierszy pt. *The Wild Knight and Other Poems*. W rok później Gilbert ożenił się z Frances Blog i przeniósł się z rodzinnego Kensingtonu na przedmieście Battersea, gdzie pozostał przez lat dziewięć. Spośród 89 książek jakie po nim zostały, nie licząc broszur, do londyńskiego okresu należą dwie powieści — *Napoleon z Notting Hill* oraz *Człowiek który był Czwartkiem*, najlepsza bodaj powieść Chestertona, trzy studia literackie — *Robert Browning*, *Charles Dickens* i *Bernard Shaw*, poza tym *Ortodoksja* — katolickie wyznanie wiary Chestertona i szereg opowiadań oraz essayów.

Chesterton zdecydował się na opuszczenie Londynu ze względu na delikatne zdrowie żony. Uczynił to, zdaje się, z ciężkim sercem, bo trudno mu było się rozstać z miastem, gdzie był już znaną i popularną postacią, gdzie mieszkali prawie wszyscy jego przyjaciele (Gilbert był z natury towarzyski), a także niełatwo było mu się wyrwać spod wpływu Fleet Street. Jako nowe miejsce pobytu wybrano miasteczko Beaconsfield. Chesterton zawsze nalegał na wymowę *Beconsfield* od *boece* (staro-angielskie "buk"); uważał że to jest właściwy źródłosłów, a nie *beacon* — drogowskaz świetlny. Gilbert lubił bukowe drzewa i uważał je za prawdziwy emblem Anglii, zaś Buckinghamshire za najbardziej angielską jej część. Beaconsfield leży mniej więcej o godzinę jazdy od Londynu w stronę High Wycombe. Znane jest z tego, że nazwa jego została niegdyś przydana Disraeliemu, błyskotliwemu premierowi królowej Wiktorii, jako nazwisko do tytułu lordowskiego. Chesterton zresztą serdecznie nie lubił Disraeliego. Wybór Beaconsfield przez Chestertonów był zupełnie przypadkowy. Oboje mieli zwyczaj wsiadania do pociągu lub omnibusu nie pytając dokąd on idzie, o ile wygląd konduktora lub jakiś inny szczegół podniecił wyobraźnię pisarza. W taki sposób pewnej niedzieli znaleźli się w uroczym miasteczku, którego nazwa została im wyjawiona dopiero przez zdumionego właściciela gospody *The White Hart*, w której się zatrzymali.

Gospoda ta znajduje się tuż przy rozległym placu — w Polsce nazwalibyśmy go rynkiem — na który spływa cały ruch drogowy z wszystich kierunków. Na tym samym rynku znajduje się inna gospoda: *The Saracens Head* z typowym starym szyldem, przedstawiającym groźny łeb dzikiego bisurmana. Gospoda ta została później uwieczniona w jednym z wierszy Chestertona, który przepadał za tradycyjnymi instytucjami, jakimi są gospody angielskie, i poświęcił im nawet osobną powieść p.t. *The Flying Inn*. Prawie naprzeciwko znajduje się kościół protestancki *St. Mary and All Saints*, w którym zobaczyć można alabastrową płaskorzeźbę poświęconą pamięci Edmunda Burke, Irlandczyka z pochodzenia, jednego z najwybitniejszych pisarzy politycznych Anglii. Warto wspomnieć, że Burke zachwycał się polską Konstytucją 3 Maja i uważał ją za najbardziej demokratyczną i postępową w Europie. Dedykacja wyryta na płaskorzeźbie ma treść następującą: *Edmund Burke, patriot, orator, statesman, lived at Butlers Court formerly Gregories in this Parish from* 1769 *to* 1797. *This memorial placed here by public subscriptions records the undying honour in which his name is held, July* 9, 1898 Chesterton twierdził, że podziwia Burke'a niemal we wszystkim, ale nie zgadza się z nim w wielu sprawach.

Beaconsfield zabudowane jest jednopiętrowymi domkami; każdy z nich posiada niewielki ogród. Ogrody są wyjątkowo dobrze utrzymane i pełne kwiatów. Zwraca uwagę zwłaszcza prawdziwa powódź róż wszystkich gatunków i kolorów. Dom, w którym Chestertonowie zamieszkali, znajduje się przy Grove

Road. Nosił on nazwę *Overroad* i był stanowczo za mały jak na ich potrzeby, zwłaszcza, że całe mnóstwo przyjaciół zwykło przyjeżdżać na week-endy. Jednym z nich był *Father* O'Connor, ksiądz katolicki z Yorkshire, który jest prototypem Ojca Browna z nowel Chestertona i równocześnie autorem czarującej książki o Chestertonie, pełnej osobistych wspomnień p.t. *Father Brown on Chesterton.* Wpływ Ojca O'Connora przyczynił się w znacznej mierze do ostatecznego nawrócenia Chestertona na katolicyzm, które dokonało się w roku 1922. Chesterton od wczesnej młodości interesował się zagadnieniami religijnymi. Pomimo że oficjalne złożenie przez niego wyznania wiary nastąpiło, kiedy już był człowiekiem dojrzałym, to na długo już przedtem uważał katolicyzm za jedyną religię do przyjęcia dla człowieka o umysłowości zachodnio-europejskiej bez szkody dla jego zdrowia duchowego. Bał się natomiast wszelkich mistycyzmów wschodnich jako zabójczych dla normalnej psychiki człowieka, wychowanego w kulturze łacińskiej.

Ogółem Chesterton spędził w Beaconsfield 27 lat swego życia. "Żyłem w Beaconsfield, od czasu kiedy było zaledwie wioską, aż do czasu, kiedy stało się, jak powiadają świętokradczo wrogowie, prawie przedmieściem Londynu" — pisze w swojej *Autobiografii.* Ponieważ dom był za mały, więc żona Chestertona zakupiła kawał gruntu leżącego naprzeciwko i zbudowano tam obszerne, drewniane studio, przeznaczone dla prywatnych celów artystycznych. Był to duży pokój o wysokim belkowanym suficie, z małą galerią na orkiestrę i sceną. Gilbert przepadał za wszelkiego rodzaju maskaradą, przedstawieniami, a przede wszystkim teatrem kukiełek. Tę ostatnią pasję odziedziczył po swoim ojcu, a ponieważ umiał dobrze rysować (co najmniej dziesięć powieści Belloca ozdobionych jest jego rysunkami) więc projekty kukiełek były jego własnego pomysłu. Oboje Chestertonowie kochali dzieci, a nie mając własnych, zwykli byli urządzać przedstawienia dla dzieci sąsiadów i przyjaciół na każde Boże Narodzenie. Dorośli byli z tych rozkoszy wyłączeni.

Z biegiem czasu szczupłość zajmowanego pomieszczenia tak dała się we znaki, że rozpoczęto budowę nowego domu naprzeciwko. Początek był już zrobiony przez postawione studio, teraz dobudowano do niego jednopiętrowy dom z drzewa, tak połączony ze studio, że można je było wykorzystać dla celów mieszkalnych. Scena została zamieniona na jadalnię, a reszta pokoju na pracownię pisarza. Chestertonowie przenieśli się na nowe miejce w roku 1922. Dom nazwano *Top Meadow* i nazwa ta pozostała do dzisiaj. Okala go duży ogród utrzymany w stylu angielskim. Kwiaty rosną w nim w gęstwinie i na wpół dziko, podczas gdy trawniki przed i poza domem wystrzyżone są wzorowo. Do tyłu domu przylega obszerna pergola, uginająca się pod ciężarem purpurowych róż. W ogrodzie stoi figura Św. Franciszka z Asyżu (do którego Chesterton miał specjalne nabożeństwo i o którego życiu napisał książkę), przemawiającego do ptaków. Obszerny basen kipi białym kwieciem lilii wodnych.

Biblioteka Chestertona rozrastała się w takim tempie, że co roku musiano dobudowywać nowe półki do dawniej już istniejących. Wreszcie na sześć miesięcy przed śmiercią Chestertona dobudowano do studio osobny pokój-bibliotekę. Dziś pełno w nim, jak zresztą w całym domu, fotografii Chestertona, wśród których zwracają uwagę dwie: jedna z r. 1903, prawie nieznana, i druga przedstawiająca jego popiersie.

Pokój, w którym pisarz umarł na atak serca w r. 1936, odznacza się klasztorną niemal surowością. Na ścianie wisi wielki krucyfiks, a półki zastawione są pismami Ojców Kościoła. A jednak Chesterton nie był wcale człowiekiem skłonnym do ascetyzmu. Zawsze lubił dobrze zjeść i wypić i zwykł był powtarzać z całą powagą, że skoro człowiek przestrzega dziesięciorga przykazań, to wszystko inne jest mu na tym świecie dozwolone. Istnieje anegdota o Chestertonie, którą przechowali jego najbliżsi: W dzień przyjęcia go do Kościoła Katolickiego, tuż przed obrzędem, Chesterton wyciągnął przez pomyłkę z kieszeni groszowe wydanie jakieś sensacyjnej powieści zamiast książki do nabożeństwa. Obecni patrzyli na siebie ze zgrozą, ale sam Gilbert nie zdawał się być wcale zażenowany.

Żona Chestertona przeżyła go zaledwie o dwa lata. Po śmierci obojga w *Top Meadow* mieszkała przez czas jakiś sekretarka pisarza, Miss Dorothy Collins, którą Chesterton uważał za swą przybraną córkę. Ma ona tę niewątpliwą zasługę wobec literatury angielskiej, że chronicznie przepracowanego Chestertona odciążyła w bieżącej pracy dziennikarskiej swą pomocą w przepisywaniu artykułów, którą to pracę uprzednio wykonywał sam Chesterton. Miss Collins mieszka w dalszym ciągu w Beaconsfield, ale już w innym miejscu. *Top Meadow* zaś zostało kupione przez *Convert's Aid Society* i przeznaczone jako dom dla nawróconego na katolicyzm kleru anglikańskiego. Dnia 20 lipca br. odbyło się uroczyste poświęcenie domu przez biskupa Parkera z Northampton. Pomiędzy gośćmi znajdowała się także biografka Chestertona, Miss Maissie Ward.

Tradycja Chestertona jest wciąż żywa w Beaconsfield. Za życia pisarza ludzie przyjeżdżali dosłownie z całego świata, aby go odwiedzić. To też mieszkańcy miasta przyzwyczajeni są do widoku cudzoziemców i chętnie służą objaśnieniami.

Gilbert złożony został na wieczny spoczynek na nowym miejskim cmentarzu leżącym przy ulicy Shepherds Lane. Mimo dużej ilości grobów cmentarz ten jest jakoś dziwnie pusty i mimo poprawnego stanu utrzymania dziwnie opuszczony. Grób Chestertona znajduje się w części katolickiej cmentarza i jest grobem wspólnym jego i jego żony, która również przeszła na katolicyzm w cztery lata po nawróceniu się Gilberta. Na nowoczesnym nagrobku wykuty jest Chrystus na krzyżu i Matka Boska Bolesna. Napis tamże umieszczony brzmi: *Pray for the souls of Gilbert Keith Chesterton, Born May* 29, 1874, *Died June* 14, 1936, *and of Frances his Wife, Born June* 28, 1869, *Died December* 12, 1938. Prócz tej prośby o modlitwę znajdują się jeszcze piękne słowa: *Vitam sine termino nobis donet in patria* ("Oby darował nam życie bez końca w ojczyźnie").

Razem z Chestertonem odszedł bezwzględny szermierz Dobrej Sprawy, którego wielki talent był jakby światłem przewodnim w mglistym okresie przedwojennego świata. Zabrakło jego pióra, które by mogło prostować ścieżki myśli tysięcy, właśnie wtedy kiedy w dziedzinie pojęć zaistniała, tak w czasie wojny jak i obecnie, istna wieża Babel.

ALEKSANDRA POLESKA

JERZY FACZYŃSKI

CAPRICCIO

I

Snu ścieram perły — rano,
a nocą — do pereł wzdycham;

w śmierci otwarte bramy —
wiosłuję gościńcem mgły.
Apokalipsy po bokach
sfinksy nieme.

Czy będę — lunatyk wierny
ludzkim chimerom,
przez laskę wtopiony w wszechwymiar,
bódł siebie stale i klomby sadził hymnów?

W skarbonkę rosę zbierał
z uporem mnicha?

Snu ścierał perły — rano,
a nocą — do pereł wzdychał?

II

We mgle krążę jak ćma.

Drzewa potrącam wilgotne,
w snach przeźroczystych samotnych.

Dysonans — wybuch w przestrzeni,
fontanna światła —
latarnia.

Ćma jestem — w mgle się obracam;
do światła lecę,
sny zgarniam.

III

Jak nurek jestem i płynę
w zielonym pryzmacie;

mozajki fosforyzują pode mną
a nad głową—kalejdoskop tańczy.

Choć wieków mam w sobie gamy,
kolorów puch, wstyd cieni —
jak nurek zrywam w pryzmacie
wciąż nowe zdziwienia.

JERZY FACZYŃSKI

WITOLD OLSZEWSKI

SPRAWA POLAKÓW W NIEMCZECH

Nie mam zamiaru pisać o krzywdzie.

Polską krzywdą wypełniony jest świat cały. Polska krzywda krzyczy powodzią słów i faktów smujących się z monotonną konsekwencją według nieubłaganych kanonów pogwałconego w złej godzinie prawa moralnego. Upajamy się wciąż jeszcze tą krzywdą i rozsiewamy wokół protesty, skargi i gorycz zawodu, gorycz, której ludzie nie lubią i przed którą się chronią.

Nie mam więc zamiaru pisać o krzywdzie, choć sprawa, o której tu mowa, z krzywdy wyrosła i sama jest krzywdą tak charakterystyczną dla brutalnej współczesności. Mam na myśli jeden z najdotkliwszych problemów polskich: problem uchodźstwa w okupowanych Niemczech zachodnich.

Już teraz — po kilkunastu miesiącach — temat zasługuje właściwie na monografię. Materiału jest wiele, doświadczenia są bogate. Zostawmy to jednak przyszłości, cierpliwemu pióru i cierpliwemu czytelnikowi. Spróbujmy uchwycić pobieżnie te tylko momenty, które mają największe znaczenie dla naszej walki o niepodległość, które muszą być wliczone w ogólny rachunek sił, w ogólną koncepcję polityczną.

W ROZPALONYM TYGLU

Chwila wyzwolenia przeszło milionowej masy Polaków w Niemczech zbiegła się z głębokim kryzysem politycznym sprawy polskiej. Zdezorientowani, bo nie znający prawdziwego przebiegu wydarzeń, Polacy stanęli wobec niepojętych dla nich wówczas faktów. Rząd polski został odcięty od terenu niemieckiego. Na nieliczny stosunkowo, niekiedy niezbyt szczęśliwie dobrany pod względem personalnym i przeciążony zespół oficerów łącznikowych nie można było liczyć. A tu przed Polakiem, który przez długie miesiące czy nawet lata miał dostęp tylko do publicystyki i informacji z kuchni dra Goebbelsa, stanął w całej surowości problem Mikołajczyka, konferencji moskiewskiej, procesu moskiewskiego i "tymczasowego rządu jedności narodowej".

Społeczeństwo było z początku rozproszkowane, fizycznie i psychicznie wyczerpane, bez kierownictwa. Z zachodu płynęły z rzadka, ale za to najniepomyślniejsze wieści, ze wschodu ziało złowróżbną zagadką, przed którą się wzdragał instynkt przeciętnego człowieka. A w rozpalonym tyglu niemieckim wrzało formujące się — wbrew dziwacznym i anormalnym stosunkom — życie zbiorowe. Powstały samorządy obozowe, szkoły, czasopisma, ośrodki wydawnicze, szpitale, zaimprowizowane oddziały wojskowe. Rozpęd pokonywał przeszkody.

Potem przyszło zagadnienie repatriacji, penetracja czynników warszawskich i powolne, lecz konsekwentne likwidowanie przez władze alianckie podstaw, na których osadzało się życie polskie. Zamykanie czasopism, atak na niezależność szkolnictwa, utrudnienia w organizowaniu samorządu na wyższych szczeblach, ograniczanie sieci oficerów łącznikowych, a przede wszystkim przymusowa bezczynność i świadomie podtrzymywana niepewność jutra — wszystko to miało stwarzać ciśnienie repatriacyjne, a stwarzało napewno niezdrowe nastroje, których ofiarą padały jednostki słabsze moralnie i wykolejone przez wojnę. Ale jednocześnie zaczęła płynąć, z początku skąpo, później coraz szerszym strumieniem fala uciekinierów z kraju. Oni oraz zaczynające napływać pisma "warszawskie" otworzyły Polakom w Niemczech oczy na prawdziwą, autentyczną rzeczywistość polską.

W tyglu niemieckim wciąż wrzało. Ludzie wiedzeni tęsknotą i obowiązkami wobec rodzin wyjeżdżali w dużej ilości do kraju. Inni przybywali. UNRRA rozpętała ogromną kampanię powrotową, grożąc odebraniem pomocy. Władze amerykańskie zapowiedziały nadanie wysiedleńcom obywatelstwa niemieckiego. Władze francuskie zamykały ludzi w obozach i pozwalały hulać po nich sowieckim oficerom, którzy wyłapywali rzekomych obywateli sowieckich i wywozili ich przymusowo. Władze brytyjskie przerzucały wciąż obozy z miejsca na miejsce i utrącały wszelkie większe próby zorganizowania się zbiorowego.

W tych warunkach, w tej temperaturze stałego wrzenia, niepokoju, zmian i zaburzeń powstała naczelna organizacja Polaków — Zjednoczenie Polskie w Niemczech.

ZJEDNOCZENIE POLSKIE

Proces był uciążliwy i trudny. Rozwijał się bowiem w okolicznościach jak najgorszych. W poszczególnych sferach okupacyjnych tworzyły się, w zdecydowanej większości wypadków nieoficjalnie i bez wiedzy władz okupacyjnych, porozumienia samorządów obozowych, ośrodki okręgowe, wreszcie — poprzez zjazdy okręgowe i ogólne (jak np. w strefie brytyjskiej zjazd w Bardowick) — zarządy strefowe. Po nawiązaniu kontaktów między strefami powstała w końcu Rada Naczelna Zjednoczenia Polskiego wraz z organem wykonawczym — Stałym Sekretariatem Spraw Polskich.

W miarę narastania autorytetu Zjednoczenia wśród Polaków przyłączały się doń inne organizacje o węższym zasięgu. Dziś Zjednoczenie Polskie jest formalnie i faktycznie organizacją centralną i naczelną. Afiliowane są przy nim liczne organizacje zawodowe, obejmujące rejestracyjnie i szkoleniem zawodowym takie grupy jak prawników, dziennikarzy, techników, nauczycieli, księgarzy i wydawców, rolników. W skład Zjednoczenia Polskiego wchodzą również stowarzyszenia b. więźniów obozów koncentracyjnych, związki studentów, organizacje kobiece i młodzieży. Ponad to — z inicjatywy organizacji nauczycielskiej — powstał Centralny Komitet dla Spraw Kultury i Oświaty, również jako organ Zjednoczenia Polskiego. Komitet ten kieruje obecnie w praktyce całością spraw szkolnych na terenach międzyokupacyjnych.

Zjednoczenie Polskie nie jest uznane oficjalnie przez władze okupacyjne. Przeciwnie nawet — w poszczególnych wypadkach rozwiązywano i rozwiązuje się nadal w pewnych rejonach (np. w rejonie Schleswig-Holstein rozwiązano Związki Polaków) organizacje okręgowe. Formalnie rzecz biorąc, w każdej chwili grozi rozwiązanie całości. Jednakże ze względu na znaczenie i autorytet organizacji zdarzało się już kilkakrotnie, że władze okupacyjne oraz UNRRA przeprowadzały rozmowy i pertraktacje z najwyższymi organami Zjednoczenia. Na szczeblach niższych w pewnych ośrodkach powstała nawet ścisła i stała współpraca.

I tak np. prowadzono dłuższe rozmowy z delegatami UNRRA na temat zatrudnienia. Rozmowy nie dały wyników. Potem nastąpiła próba ustalenia zasad zatrudnienia z wyższymi przedstawicielami Brytyjskiego Zarządu Wojskowego. Prezes Rady Naczelnej Zjednoczenia rozmawiał z lordem Beveridge, przewodniczącym Komitetu Pomocy Uchodźcom, bawiącym niedawno w Niemczech. Zjednoczenie złożyło za pośrednictwem Społecznego Komitetu Pomocy Polakom w Niemczech dłuższy memoriał do Komitetu dla Spraw Uchodźców i Wysiedleńców Organizacji Narodów Zjednoczonych. Ostatnio zaś z sekretariatu O.N.Z. w Nowym Jorku nadeszła odpowiedź na piśmo, w którym Zjednoczenie notyfikowało swe istnienie. Odpowiedź wskazuje na możliwość zaakredytowania Zjednoczenia przy Radzie Gospodarczej i Społecznej O.N.Z. jako "Organizacji Narodowej nierządowej" o charakterze konsultatywnym.

Z wymienionych wyżej faktów wynika, że— jeżeli nie zajdą szczególnie niepomyślne okoliczności polityczne — Zjednoczenie Polskie w Niemczech ma pewne szanse uznania go z punktu widzenia międzynarodowego za reprezentację uchodźców i wysiedleńców, co oczywiście miałoby doniosłe znaczenie dla sprawy polskiej. Na razie jednak — w okresie wzmożonego nacisku repatriacyjnego i likwidowania większości niezależnych ośrodków polskich — narastają problemy nie tylko techniczne i formalne, ale przede wszystkim ogólne problemy polityczno-społeczne. Od ich rozwiązania zależeć będzie sens istnienia uchodźstwa polskiego, jego siła społeczna i jego los.

Te problemy to: repatriacja, zatrudnienie i osiedlenie. Właściwie należałoby mówić o wszystkich łącznie, gdyż wiążą się z sobą w logiczną całość. Dla jasności wszakże omówię je osobno.

PROBLEM REPATRIACJI

Założenia władz alianckich od początku były w tej sprawie jasne i konsekwentne: wysłać do Kraju jak największą ilość ludzi przy użyciu jak największego nacisku, zatrzymującego się na granicy przymusu bezpośredniego. Reszta była tylko kwestią metod stopniowo dawkowanych, zaostrzanych to znów łagodzonych — w zależności od reakcji. Stąd uprzywilejowanie misji repatriacyjnej i przydzielanie jej coraz większych uprawnień ingerencji w życie wewnętrzne obozu, otwarcie szeroko bram dla prasy z Kraju przy jednoczesnym zamknięciu dopływu dla niezależnej prasy polskiej i zamykanie czasopism obozowych, groźby nadania obywatelstwa niemieckiego, groźby zamknięcia pomocy materialnej i cała litania chwytów i posunięć administracyjnych, znana czytelnikowi z codziennej, czy tygodniowej prasy polskiej, a nawet niekiedy z interpelacyj w Izbie Gmin. "Wracajcie do Kraju, bo tam jesteście potrzebni, a tu jesteście tylko ciężarem" — oto często powtarzana w odezwach dyrektorów UNRRA teza, którą się wciąż szerzy z niesłabnącym zapałem.

A co na to Polacy? Jeszcze przed rokiem została ustalona formuła oficjalna: Nie namawiamy nikogo ani do powrotu ani do pozostania. Jest to kwestia sumienia. Trzeba tylko dostarczyć elementów do indywidualnej decyzji, trzeba by ludzie znali prawdę o obecnym położeniu w Polsce.

Takie stanowisko zajęło również Zjednoczenie Polskie, tym bardziej, że było organizacją, reprezentującą zarówno tych, którzy mieli wracać, jak i tych, którzy zostawali.

W praktyce jednak powoli, organicznie rodził się opór przeciw jednostronnemu naciskowi propagandowemu, przeciw "operacjom" władz okupacyjnych i machinacjom misji warszawskiej. Mimo woli, szczególnie w dolnych komórkach życia społecznego powstawały reakcje, zdradzające skłonność do postawy aktywnie negatywnej wobec nacisków i nalegań. To stworzyło podbudowę pod tezę importowaną bodaj z terenu włoskiego, że na wychodźstwie obok wojska i elity politycznej powinna pozostać jak najliczniejsza masa wolnych Polaków, stanowiąca przekrój wszystkich warstw społecznych. Pozostawało to w związku z założeniem stworzenia "Małej Polski", a więc osiedlenia Polaków za morzami w zwartych, możliwie jak największych skupiskach, w t.zw. zespołach socjologicznych.

Jednocześnie zaś w obliczu narastających trudności organizacyjnych politycznych i materialnych oraz wobec niewidocznych jeszcze perspektyw emigracyjnych powstawała wśród niektórych oficerów łącznikowych przeciwteza: Na wychodźstwie powinni spośród ludności cywilnej pozostać tylko nieliczni świadomi swych zadań działacze polityczni oraz wszyscy ci, którzy ze względów bezpieczeństwa wracać nie mogą.

Oba sprzeczne ze sobą punkty widzenia w praktyce godziły się w ramach założenia ogólnego, stanowiącego jakby zasadę liberalnej nieinterwencji. Wynikało to z istoty rzeczy. Skoro się bowiem osądza, że coś się stać "powinno", to znaczy, że na określony cel będzie nastawiona działalność. Czyli, że w wypadku pierwszym należało świadomym działaniem przeciwstawić się repatriacji i nakłaniać możliwie największą ilość ludzi do pozostania. W drugim wypadku trzeba by było nakłaniać znakomitą większość do powrotu. Nikt za to — i chyba słusznie — nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności. Jak można było nalegać na pozostanie, skoro nie w polskich rękach spoczywa decyzja co do przyszłości losów wysiedleńców i uchodźców? I jakże znowu można namawiać do powrotu, gdy się samemu zostaje, gdy zna się ciężkie położenie wewnętrzne kraju, ucisk i zaburzenia, jakie tam panują?

Sprzeczne punkty widzenia nie wyszły więc poza płaszczyznę dyskutowanych dezyderatów, kilku manifestacji i wystąpień publicznych. W działaniu powszechnym utrzymała się zasada informowania o polskiej prawdzie i życzliwej tolerancji. Wypadki biegły swoim torem. Z jednej strony działał nacisk władz okupacyjnych, męcząca uciążliwość bezczynnego bytowania w obozach, niepewność emigracyjnego jutra i tęsknota za bliskimi, z drugiej strony — coraz gorsze wiadomości z kraju i pogłębiająca się świadomość narodowej tragedii oraz — u pewnych ludzi — wygodnictwo życiowe i strach przed niedostatkiem w kraju.

Dziś spośród przeszło miliona Polaków pozostało w Niemczech nieco ponad czterysta tysięcy. Cyfra zdumiewająco duża, jeśli się zważy ogrom nacisku, więzi rodzinne i karykaturalność bytowania w próżni. Eliminacja nie jest jeszcze skończona i — niestety — niekoniecznie wypada budująco. Nieszczęśliwe metody postępowania władz alianckich (szykany policyjne, rozkładowy wpływ bezczynności) powodują, że zostają właśnie gorsze pod względem moralnym elementy. Przeciwdziałanie temu jest tylko jedno: zatrudnienie.

PROBLEM ZATRUDNIENIA

W ostatnich miesiącach prasa światowa rozpisała się na temat lenistwa i niechęci do pracy wśród wysiedleńców polskich. Propaganda ta nosi wszystkie znamiona złośliwej nieuczciwości. Prawda, że wysiedleńcy w przeważającej masie nie pracują. Ale nie pracują dlatego, że od samego początku z przyczyn, o których była już mowa, władze okupacyjne zrobiły wszystko, by pracę im uniemożliwić. Wielokrotnie usiłowania i interwencje ze strony Zjednoczenia Polskiego rozbijały się o mur instrukcji. W pewnym momencie zdawało się, że sprawa jest wreszcie na dobrej drodze. Z reprezentantami UNRRA omówiono szczegółowo plan zatrudnienia. UNRRA miała przygotować specjalny aparat urzędniczy do puszczenia w ruch szkolnictwa zawodowego i zespołów pracy. Polacy zaczęli się masowo zgłaszać do zajęć. Tymczasem po dwóch tygodniach okazało się, że cały plan został odłożony *ad acta*, a zamiast zespołów szkoleniowych UNRRA uruchomiła — zespoły propagandy za repatriacją.

Nie zniechęciło to Zjednoczenia Polskiego do dalszych prób. Podchwycono pierwszą okazję, pierwszą skłonność do rozmów ze strony Brytyjskiego Zarządu Wojskowego. Rozmowy znów początkowo przybrały pomyślny obrót. Zgodzono się, że Polacy będą pracowali tylko na rzecz władz alianckich lub na rzecz obozów i tylko pod polskim względnie alianckim kierownictwem. Zwołano specjalną konferencję działaczy z okręgu hanowerskiego, na której przedstawiciele terenu wyrazili w imieniu ludności natychmiastową gotowość do podjęcia pracy. Przygotowano dane statystyczne. Tymczasem następna z kolei rozmowa z przedstawicielem Zarządu Wojskowego wykazała zmianę stanowiska brytyjskiego. Wysunięto niedwuznacznie sugestie, że pracy na rzecz Aliantów nie znajdzie się wiele, że należy dążyć do załagodzenia stosunków polsko-niemieckich i że możliwa będzie praca, ale wśród Niemców i dla Niemców.

Takie stanowisko jest oczywiście nie do przyjęcia. Już przed kilku miesiącami Zjednoczenie Polskie ustaliło słusznie następujące zasady: Ludność polska pragnie zatrudnienia jako przygotowania zawodowego do walki o byt w przyszłości i jako antidotum przeciw rozkładającej atmosferze wegetacyjnej. Pragnie jednak tylko pracy na potrzeby własne i alianckie i to takiej pracy, która by nie przywiązywała Polaków na stałe do terenu Niemiec.

Zasady te są chyba dostatecznie zrozumiałe. Praca jest niezwykle doniosłym motorem życia. Ale praca nie jest celem samym w sobie. Pozostanie w Niemczech, wprzęgnięcie się w niemiecki system gospodarczy wraz ze wszystkimi konsekwencjami kulturalnymi, politycznymi i społecznymi byłoby sprzeniewierzeniem się idei, dla której Polak zostaje na obczyźnie. W Niemczech bowiem niemożliwe jest ułożenie życia zbiorowego polskiego w taki sposób, by mógł powstać twórczy ośrodek wolnych Polaków.

Władze okupacyjne zdają sobie sprawę, że repatriacja nie osiągnie oczekiwanych przez nie rozmiarów. To też będą usiłowały pozbyć się części wysiedleńców w sposób najłatwiejszy i najtańszy: przez osadzenie ich wśród Niemców. Do tego zmierzała, jak się zdaje, ostatnia próba. Miała ona za zadanie uzyskanie poparcia polskiej organizacji dla tego "doświadczenia".

Tak więc jak dotąd palący problem zatrudnienia pozostaje nierozwiązany. Czterdzieści tysięcy ludzi zaangażowanych do oddziałów wartowniczych w strefie amerykańskiej to jedyna większa udała akcja. Poza tym pewien odsetek Polaków pracuje na rzecz obozów, jeszcze mniejsza ilość zatrudniona jest przez władze lokalne w dorywczych pracach, część szkoli się na kursach zawodowych.

Ale większość pozostaje z konieczności bezczynna i demoralizuje się. Wielomiesięczna kwarantanna zarządzona przez repatriacyjną politykę mocarstw okupujących jest jednym z najnieszczęśliwszych pomysłów, którego skutki odczuwają nie sami tylko Polacy.

ZAGADNIENIE OSIEDLENIA

Zagadnienie to poruszaliśmy już kilkakrotnie mimochodem w poprzednich uwagach. Szczególnie blisko sprawa ta wiąże się z problemem zatrudnienia. Skoro bowiem znaczna część wysiedleńców nie chce wrócić do Polski w obecnych warunkach, a pozostawanie w Niemczech nie miałoby z polskiego punktu widzenia żadnego sensu — jako jedyne rozwiązanie pozostaje opuszczenie Niemiec i osiedlenie się gdzie indziej. Ale gdzie i jakie są realne szanse? Oto pytanie, które najbardziej frapuje ludzi spod osobliwego znaku DP.

Jeśli chodzi o postulaty, to opinia polska w Niemczech — odmiennie niż na Wyspie Brytyjskiej — wypowiada się raczej za emigracją zaoceaniczną. Postulat ten jednak ma także ciemne strony: gospodarczo i organizacyjnie jest najtrudniejszy do zrealizowania; politycznie zaś stwarza obawy, że znaczna część Polaków przesiedlonych tak daleko nie wróci do kraju nawet wówczas, gdy będzie on wolny; wreszcie, z konieczności akcja osiedleńcza w krajach zamorskich wymaga czasu — i to nawet dłuższego — zanim poszczególne kraje wyraźnie sformułują swoją politykę imigracyjną, a powołane do tego organizacje międzynarodowe wyposażone zostaną w odpowiednie środki finansowe. Jak dotąd — mimo toczących się od dłuższego czasu pertraktacji — mamy do zanotowania konkretną ofertę przyjęcia 4000 żołnierzy II Korpusu przez Kanadę, natomiast Brazylia i Argentyna, choć oba te kraje posiadają dużą chłonność ludnościową, przyjmują na razie jedynie indywidualnych imigrantów lub mniejsze zespoły złożone z elementu fachowego.

Ramy tego artykułu nie pozwalają na wyczerpujące omówienie wszystkich aspektów i możliwości osadnictwa zamorskiego. Niemniej należałoby tu stwierdzić, że w każdym poszczególnym projekcie takiego osadnictwa winno się przyjąć jako zasadę osiedlanie Polaków w zwartych skupiskach tak, by nie podlegali niebezpieczeństwu asymilacji, ale przeciwnie — by mogli stanowić cenne źródło energii narodowej i wsparcie dla macierzystego kraju.

W Europie zachodniej, przede wszystkim w Anglii i Francji, osadnictwo w zwartych skupiskach jest trudniejsze. Z drugiej jednak strony wysoko rozwinięte polskie życie kulturalne, społeczne i organizacyjne może skutecznie zapobiec procesowi wynarodowienia. Zresztą wychodźstwo nasze, wojskowe i cywilne, tak silnie związane jest uczuciowo i politycznie z trzonem narodu w kraju, że nawet na długie lata niebezpieczeństwo to istnieć nie będzie. W wypadku Francji ponad to nie należy zapominać o półmilionowej emigracji polskiej, która tam już się znajduje i posiada wszechstronnie rozwinięte życie organizacyjne i kulturalne.

Bieg rzeczy wskazuje, że po tej linii pójdą wydarzenia. Nie uda się i nie leży w naszym interesie zatrzymywanie Polaków w Niemczech. Stąd nierealny jest także projekt osadzenia Polaków w umiędzynarodowionym Zagłębiu Ruhry, i to nie tylko dlatego, że samo umiędzynarodowienie Ruhry jest wątpliwe, ale przede wszystkim ze względu na politykę mocarstw wobec Niemiec. Na razie trwa i jeszcze będzie trwał przez dłuższy

okres czasu proces repatriacji, czyli usuwanie ku wschodowi. Gdy się wyczerpią jego możliwości — trzeba będzie przesunąć pozostałych na zachód, i to przesunąć jak najrychlej.

NIEWCZESNE WAHANIA

Problemy, o których mowa w niniejszym artykule, nie są rozwikłane i — co gorsza — wiele jeszcze słów przesypie się przez sita konferencji międzynarodowych, zanim nastąpi rozwikłanie. To też coraz częściej niecierpliwe i zbyt porywcze umysły wpadają na nierozbrojone miny. W związku ze wzmożonym ostatnio naciskiem repatriacyjnym i spodziewanym odejściem wojska polskiego z Niemiec, niektóre koła, wyznające zasadę emigracji elitarnej, są skłonne odstąpić od dotychczas przestrzeganej zasady neutralności i chciałyby zalecić większości wychodźstwa w Niemczech powrót do Polski.

Powyższy punkt widzenia jest świadectwem znacznego kryzysu nerwowego. Sformułował się pod naciskiem niepomyślnej rzeczywistości bez wniknięcia jednak w dalsze, ogólniejsze, a tak doniosłe dla całości sprawy polskiej skutki. Wybraźmy sobie, jakie rezultaty pociągnęłaby za sobą zmiana dotychczasowego stanowiska :

1) Przyśpieszyłoby to zapewne repatriację. Ale czy istotnie w takim stopniu, jak oczekują projektodawcy ? Kto zna trochę lepiej środowiska polskie w Niemczech, wie, że wysiedleńcy nie wracają z powodu rzeczywistości krajowej, którą znają dobrze, może lepiej niż niejeden polityk z Londynu.

2) Poderwałoby to gwałtownie w opinii publicznej wychodźstwa powagę polskich czynników kierowniczych. "Jakto — powiedziano by — to dopiero teraz, po przeszło roku, przekonaliście się, że powinniśmy wracać ? Czyż w Polsce sytuacja się zmieniła ? Dlaczego nie wracacie wraz z nami ? "

3) Powstałoby ogromne pomieszanie pojęć zarówno w kraju jak i na obczyźnie. Prosty człowiek wie, że do powrotu namawia UNRRA, władze okupacyjne, p. Mikołajczyk i misja warszawska — słowem wszyscy, którzy uznają administrację warszawską. Gdyby głos polskich czynników kierowniczych na Zachodzie przyłączył się do tego chóru, prosty człowiek nie wiedziałby już nic, nie wiedziałby, gdzie jest w ogóle linia podziału.

Postawa Hamleta nie jest najlepsza w myśleniu politycznym. Trzeba bez obaw i niewczesnych wahań przyjmować rzeczywistość, którą od dawna należało brać w rachubę. Stanowisko oficjalnych czynników polskich, sprecyzowane przed rokiem, a pozostawiające decyzję indywidualnym warunkom i sumieniu jednostki, jest jedynie słuszne i rozumne. Nie obawiajmy się, Polacy w Niemczech nie tylko znają gorzką prawdę o kraju. Znają również mroczną perspektywę emigracji. Przeszli już i przechodzą przez najbardziej cierpką szkołę obcego chleba. Drogę swoją wybiorą sami, choćby to ich kosztowało wiele jeszcze trudu i zmagania.

W. OLSZEWSKI

UWAGI

ŚP. IGNACY MATUSZEWSKI

Zmarły d. 3 sierpnia r.b. w Nowym Jorku w wieku zaledwie 54 lat ś.p. Ignacy Matuszewski odgrywał w dziejach Polski przedwojennej znaczną rolę jako polityk i publicysta obozu Piłsudskiego — i w tym charakterze niejednokrotnie ścierał się z polityką naszego obozu. Jako przeciwnik odznaczał się jednak umiarem, a jako polityk widział lepiej rzeczywistość Polski od wielu swoich współtowarzyszy. Po ojcu, znanym krytyku literackim Warszawy popowstaniowej, autorze znakomitych studiów o Słowackim, odziedziczył duży talent pisarski oraz namiętność publicystyczną, której niejednokrotnie dawał wyraz w polemikach, nie tylko z dziedziny czystej polityki (kiedy np. omawiał sprawę żyrardowską).

Polsce zasłużył się jednak Matuszewski przede wszystkim tym, co uczynił już w czasie wojny, oddając swoje pióro za granicą na usługę zagrożonych interesów Ojczyzny. Pamiętny jest cykl jego artykułów pt. "Wola Polski ", który ukazał się w nowojorskim *Nowym Świecie*, a potem w osobnej odbitce. Od tej chwili Matuszewski nie ustawał w działalności publicystycznej, uświadamiającej Polaków amerykańskich o położeniu Polski i wynikających stąd nakazach działania. Do ostatnich chwil życia pisywał doskonałe artykuły do *Biuletynu Komitetu Narodowego Amerykanów Polskiego Pochodzenia* i innych czasopism. Zarazem był głosem niezależnej opinii polskiej wobec zagranicy.

Zdarzało się mu popełniać pomyłki i można było polemizować z niektórymi jego poglądami, ale nikt nie mógł mu odmówić ani dużej wiedzy i zdolności umysłowych, ani też gorącego oddania sprawie ojczystej. Jego śmierć stanowi trudną do powetowania stratę dla całej Polski w chwili, kiedy tak wielka jest potrzeba talentów i charakterów, wyrastających ponad poziom powszedniości.

EXODUS ŻYDÓW EUROPEJSKICH

Exodus żydostwa europejskiego jednoczesny z wypadkami palestyńskimi to jeden z najciekawszych procesów w chwili obecnej, o znaczeniu znacznie większym dla stosunków międzynarodowych, niż jakiekolwiek inne wydarzenie w dziejach żydostwa za naszej ery. Składają się na to dwie przyczyny. Najpierw fakt, że Żydzi są z powrotem w Palestynie i chociaż nie odbudowali " świątyni " ani państwa żydowskiego, stali się znowu dużą siłą na Bliskim Wschodzie, może nie na wiele mniejszą skalę, niż byli za Herodów równo dwa tysiące lat temu. Drugim powodem jest pozycja Żydów w obu mocarstwach anglosaskich, głównie w Stanach Zjednoczonych. Dzieje się tak mimo ubytku kilku milionów Żydów, głównie środkowo i wschodnio-europejskich, pomordowanych w komorach gazowych przez hitlerowców.

Nie ma nic bardziej naturalnego, że po doświadczeniach wojny Żydzi europejscy chcą "wrócić" do Palestyny. Tak samo zrozumieć można uczucia Żydów palestyńskich, którzy wyrwawszy się z "diaspory" nie chą być żadną mniejszością, chociażby najbardziej uprzywilejowaną i protegowaną w jakimś państwie arabskim, tak czy inaczej nazwanym.

Sens międzynarodowy "powrotu" Żydów do Palestyny nie leży jednak w tym, że opierają się temu Arabowie, lecz w tym, że zagadnienie to stało się elementem w rozgrywce wielkich mocarstw. Przede wszystkim w grze olbrzyma sowieckiego.

Polityka sowiecka jest w pełni świadoma kłopotów, jakie musi sprawić Anglii masowa imigracja Żydów do Palestyny. Przyzwolenie na nią od razu psuje stosunki Anglii z Arabami i rozwala nader kunsztowny twór harmonii na Bliskim Wschodzie pod hegemonią brytyjską. Natomiast zamknięcie, chociażby częściowe, bram Palestyny przed Żydami ujemnie wpływa na dobre stosunki Anglii z Ameryką, co w obecnej skomplikowanej sytuacji międzynarodowej jest równie ważne dla niej, jak spokój na Bliskim Wschodzie. Oczywiście interes Rosji leży w popsuciu harmonii na obu tych płaszczyznach. Polityka sowiecka zatem popiera czynnie emigrację Żydów ze Środkowo-Wschodniej Europy. Dopomaga do niej pogłębiając warunki psychiczne dla exodusu, np. przez aranżowanie zajść antyżydowskich przez organa tajnej policji rządów wasalnych. Co więcej formalnie otwiera granice przed żydowskimi uchodźcami, kiedy trzyma je szczelnie zamknięte dla wszystkich innych. Nie czyni tego z sympatii dla sjonizmu. Do niedawna zwalczała sjonizm w Rosji i agitowała wśród Arabów, których będzie przeciwstawiała Żydom, kiedy jej to będzie wygodne ; *divide et impera* nie jest przywilejem pewnych tylko mocarstw.

Żydzi nie mogą odrzucać poparcia skądkolwiek ono pochodzi. Natomiast stroną poszkodowaną jest Anglia, która zbiera owoce taktyki doraźnych załatwień od wypadku do wypadku. Inna rzecz, że rzadko chyba polityka brytyjska miała do czynienia z tak twardym orzechem jak zagadnienie palestyńskie.

DEMOKRACJA W POJĘCIU P.P.R.

Pepeerowska "demokracja" znalazła swoich "teoretyków". Warto sięgnąć do paru ich niedawnych wypowiedzi.

W nr. 25 *Kuźnicy* łódzkiej z dnia 1 lipca b.r. " obywatel " J. Żuławski w artykule p.t. "O ideologii i wychowaniu młodszych" takie daje m.in. "demokratyczne" sformułowania :

> "Powiedzmy sobie otwarcie — większość nie zawsze bywa wyposażona w zdolności najtrafniejszego oceniania i doceniania rzeczy. ... Powoływanie się we wszystkim na nastroje "większości" — to często kapitulacja przed niewyrobieniem i niewykształceniem ... większość nie zawsze widzi jasno drogę swych rzeczywistych interesów".

Niemal równocześnie na łamach krakowskiego *Odrodzenia* (nr. 29 z dnia 21 lipca b.r.) zabiera głos główny "ideolog" ustrojowy reżimu warszawskiego Konstanty Grzybowski, ongiś współpracownik prasy stańczykowskiej. Oto konkluzje jego artykułu p.t. "Ostatnie ataki 'podziemia'."

> "Czy demokracji wolno wejść na drogę, na której, na jednym z jej etapów, chwilowa większość może powiedzieć : odbieram, w imię tego, że mam dziś większość, wolność

i równość obecnej generacji i wszystkim następnym ... I niech nikt mi nie tłumaczy, że polscy nacjonaliści pod wpływem doświadczeń międzywojennych zmądrzeli, złagodnieli. Nacjonaliści są zawsze mądrzy i łagodni, kiedy demokracji potrzebują, ale przestają i muszą przestać być mądrzy i łagodni, kiedy demokracji już nie potrzebują".

Z przytoczonego powyżej ustępu — pomijając jego bezsensowne i niczym nie poparte insynuacje pod adresem polskiego ruchu narodowego — wynikają trzy rzeczy :

Po pierwsze, że p. Grzybowski i jego mocodawcy boją się panicznie siły obozu narodowego i w ogóle niezależnych żywiołów polskich — przy czym wyrażenie "chwilowa większość" stanowi tu tylko niezgrabny chwyt taktyczny, wiedzą bowiem dobrze, że większość, jaką by posiadały te żywioły, zgoła by nie była "chwilowa" ;

Po drugie, że mocodawcy p. Grzybowskiego zdecydowani są utrzymać się przy władzy, uzyskanej wyłącznie dzięki poparciu obcych bagnetów, za wszelką cenę — z wyraźnym pogwałceniem woli narodu ;

Po trzecie, że "ideolodzy" reżimu, w rodzaju pp. Grzybowskiego, Żuławskiego i innych, posługują się w tym celu argumentacją, identyczną z tą, jaką od najdawniejszych czasów posługiwali się różnego autoramentu despoci, dyktatorzy i samozwańcze "elity", rządzące wbrew swym społeczeństwom.

H. G. WELLS A POLSKA

Stosunek H. G. Wellsa do Polski wypływał zarówno z typu jego umysłowości jak z idei, którymi nasiąkł od wczesnej młodości. Wells był skrajnym racjonalistą i zwolennikiem zorganizowania życia ludzkości według pewnych naukowych schematów, obejmujących cały glob ziemski. Nie rozumiał znaczenia pierwiastków irracjonalnych, ani uczuciowych w życiu narodów i jednostek. Czuł głęboką niechęć do religii, zwłaszcza do katolicyzmu ; odrzucał wielką część odziedziczonych po poprzednich pokoleniach form cywilizacyjnych, przywiązań, obyczajów jako przeszkodę w realizacji głoszonych przez siebie celów. Irytowało go niemalże samo istnienie mniejszych liczebnie narodów — ich ambicje i chęć zachowania własnej indywidualności—uważał bowiem, że w przyszłym świecie, w którym czynnikiem decydującym będzie *homo sapiens*, na takie "ekscentryczności" nie może być miejsca.

W tych warunkach sama koncepcja dużego obszarem, silnego Państwa Polskiego miała w nim zdecydowanego przeciwnika, a polski "romantyzm", "historycyzm" i katolicki typ kultury specjalnie działały mu na nerwy. Pytany w czasie Pierwszej Wojny Światowej przez jednego z dziennikarzy o stanowisko w sprawie polskiej, odparł, że "nie interesuje go zabawa w różnorakie znaczki pocztowe". Podobnie zresztą w parę lat potem, w roku 1921, G. B. Shaw wyraził się, że w przekonaniu dużej części Brytyjczyków "ludy takie jak Polacy, lub Irlandczycy są politycznie niemożliwe". Za to zarówno Wells jak Shaw byli zawsze zafascynowani narodami wielkimi liczebnie i imperiami (z wyraźniejszą przy tym skłonnością ku Rosji, niż ku kapitalistycznym Stanom Zjednoczonym). Wręcz odmienne stanowisko w całej swej twórczości zajmował G. K. Chesterton ; jedna z jego najlepszych powieści : "Napoleon z Notting Hillu" stanowi symboliczną pochwałę różnorodności i bogactwa typów narodowych, zarazem zaś protest przeciw niwelacyjnemu działaniu państw-kolosów.

W czasie Drugiej Wojny Światowej Wells w wielu swych książkach i artykułach zatrącał o zagadnienie polskie. Przyznając tym razem Polakom różne zalety, atakował namiętnie to, co uważał za ich brak zmysłu politycznego, fanatyzm, marzenia o daleko sięgających granicach (*map dreams*). W książce swej *Guide to the New World*, wydanej w r. 1941, w rozdziale XXI, zatytułowanym *Poland*, pisał m.i. :

"Polacy są narodem melodramatycznym. Niektórzy z nich siedzą teraz nad atlasami, planując nowe granice dla Polski, przywróconej do swej "dawnej świetności". Chcą zabrać Ukrainę. Chcą mieć Kijów.

"Polacy są ludem dzielnym i romantycznym. Produkują świetnych wojowników, pisarzy odznaczających się malowniczością, wynalazców, "geniuszy" na każdym polu z wyjątkiem sztuki kierowania państwem (*statescraft*) ; odznaczają się intensywnym, nieodpowiedzialnym patriotyzmem, oraz zawiłością (*intricacy*) myśli i zachowania się, która powoduje polityczną dezorganizację.

"Podobnie jak katoliccy Irlandczycy wychowani zostali jako naród w taki sposób, że są dumni ze swych nie dających się wymazać nienawiści. Nie ma drugiej takiej nienawiści, jak nienawiść i okrucieństwo, hodowane przez zorganizowane chrześcijaństwo. W Polsce zacięta nienawiść do Rosji odgrywa wolę Klątwy Cromwella, czyniąc z idei narodowej czynnik wrogi ludzkości."

Z poglądami tego typu oczywiście trudno jest polemizować, zawierają one bowiem, obok pewnych spostrzeżeń trafnych, szereg sformułowań, w sposób oczywisty niesłusznych. Przyszłość Polski Wells widział w tejże książce w przyłączeniu się jej jako jednego ze stanów do Światowej Unii Powietrznej (taką nazwą ochrzcił swą przyszłą Federację Światową, mającą na celu obronę ludzkości przed terrorem powietrznych ataków). W obrębie tej Unii Polacy, dziś "cierpiący nieopisane niegodziwości" pod jarzmem hitlerowskim, będą mogli "odnowić swą zasadniczą żywotność (*essential vitality*) . . . . a sądząc po tym, co Polska dała już sztuce i myśli ludzkiej, będzie ona mogła stać się źródłem inteligencyj czynnych, obdarzonych wyobraźnią, subtelnych i bystrych".

A przecież w Wellsie, głoszącym hasło zniesienia granic i przedziałów narodowych czy religijnych, jego angielski nacjonalizm i protestantyzm przejawiały się niekiedy w nieoczekiwanie silny sposób. Kiedy po udziale samolotów włoskich w bombardowaniu Londynu — czym tak niesmacznie chlubił się Mussolini — przyszła kolej na bombardowanie Włoch przez samoloty brytyjskie, Wells publicznie opowiedział się za bombardowaniem Rzymu. W artykule, zamieszczonym w jednym z pism niedzielnych (bodaj *Sunday Expressie*) podkreślał, że katedra Św. Pawła w Londynie jest dla Anglików równie droga i piękna, jak dla Włochów i katolików katedra Św. Piotra w Rzymie — i dlatego nie ma powodu do oszczędzania tej rzymskiej świątyni. Parokrotnie też w swych wystąpieniach publicznych wytykał Bernardowi Shaw, że jako Irlandczyk nie ma dość zrozumienia dla angielskiego punktu widzenia.

W końcowym okresie swego życia Wells wyraźnie załamał się w swej wierze w możność urzeczywistnienia swych idei. Doszedł do pesymistycznego wniosku, że pierwiastek destrukcyjny weźmie w człowieku górę i że gatunek *homo sapiens* wymrze, podobnie jak wymarły inne gatunki, które nie potrafiły się przystosować do otaczających je warunków.

W stosunkach z ludźmi Wells — jak to stwierdził w swym wspomnieniu pośmiertnym o nim G. B. Shaw — był człowiekiem łatwo się obrażającym i nie znoszącym jakiejkolwiek krytyki. Cechował go jednak pewien osobisty urok, dlatego nie miał wrogów. Łączyły go m. i. przyjazne stosunki z Conradem-Korzeniowskim, z którym utrzymywał żywą korespondencję zwłaszcza w pierwszym okresie twórczości Conrada. W r. 1896 na łamach *Saturday Review* Wells jeden z pierwszych zwrócił uwagę czytającej publiczności na talent literacki Conrada (który miał wówczas za sobą zaledwie dwie powieści) — i odtąd z życzliwą uwagą śledził dalszą jego twórczość. Conrad rewanżował mu się równym zainteresowaniem ; zarzutem, jaki stawiał utworom pisarskim Wellsa, było zbytnie ich nasycenie elementem propagandowym ze szkodą dla ich wartości artystycznych.

JERZY FACZYŃSKI

TEMAT PASTORALNY

Chmury pełne dosytu
leżą na polu,
a na błękitne nitki lasów
rozpięte w dali —
nanizały się samotne brzozy
jak korale.

Plamy zielonej wody
nakryły się rzęsą i trzciną,
wiatry — łaciate owczarki
gonią chmury doliną.

Echo szczeka :
plusk —
kręgi —
idą górą.

Szum rozpięty w bodiaku —
Chmury płyną, płyną.

MAZUREK

Oto skrami szyty wianek :
liści purpura
i szmer,

klangor wody pozłacanej
i fletnie wiązane
bzem.

Stawy nabrzmiałe bulgotem
i wierzby stojące w wodzie
po kolana ;

serce — podkute snem,
zatopione jak dzwon złoty
w pachnących gamach.

MODLITWA O SIEDEM DARÓW

O dźwięk wieszczący jasność
i balladę z mlecznej drogi
na białym koniu ;

O żyzność jak w nerwach liści ;
o horyzontów nieskończoność
na słupach wzlotów i upadków;

O uśmiech chłodzący czoło
i serce pod uderzeniami krwi ;
o epos łączący mostem
byt mglisty i byt przerażeń.

O duchów śpiew ogromny
przedłużający me echo ;
o ciepło rąk przyjaznych
w ostatnią godzinę oddechu.

JERZY FACZYŃSKI

KULTURA I ŻYCIE

Wells, Hauptmann i Mehoffer — Egzystencjalista o piekle — Antologia wojenna

HERBERT George Wells umarł w Londynie 13 sierpnia b.r. w wieku lat 80. Przed pięćdziesięciu laty (1895) ukazała się pierwsza spośród jego sławnych powieści fantastycznych, *The Time Machine*, po której świat powitał z entuzjazmem tragiczną historię niewidzialnego człowieka (*The Invisible Man*, 1897) i przygody pierwszych ludzi na księżycu (*The First Men in the Moon*, 1901). Powieść-wizja, gdzie wyobraźnia literacka pomieszała wiedzę ścisłą (Wells studiował w Royal College of Science) z bajkową niemal atmosferą cudowności, stała się najlepszym środkiem wypowiedzi proroczego Anglika.

Wells był bardzo angielski zarówno w swych wróżbach przyszłości i moralizatorstwie (w czym nawiązywał do tradycji osiemnastego wieku), jak i dickensowskich opisach drobnomieszczańskiego życia (powieści: *Kipps*, 1905, *The History of Mr. Polly*). Sam autor pochodził ze środowiska drobnomieszczańskiego i do końca życia, mimo sławy i przyjaźni z najwybitniejszymi umysłami swego czasu, zachował w sobie coś z drobnomieszczanina, porażonego manią antyreligijnego mędrkowania i werbalnej rewolucyjności. Umysł Wellsa pomimo zdolności wizualnych, nie był bynajmniej umysłem poetyckim; wszelka uczuciowość, znajdująca się poza kontrolą rozumu, odrażała autora "Niewidzialnego człowieka"; irytowała go także postawa religijna wobec rzeczywistości, pozwalająca na paradoksalną nieraz interpretację zjawisk. Nie da się zaprzeczyć, że Wells, jak wielu postępowców typu dziewiętnastowiecznego, miał jak najlepsze intencje, pragnąc ulżyć utrudzonej ludzkości, tym niemniej w samej już wierze w postęp kryła się naiwność, znana dobrze studentom literackich utopii. Bez uznania konsekwencji grzechu pierworodnego w naturze ludzkiej optymizm wielbicieli zmachanizowanej cywilizacji naraża się łatwo na ironiczne niespodzianki ze strony czasu. Wells był jedną z takich ofiar ironizującego czasu. Pod koniec życia autor powieści wizjonerskich odsuwał się coraz dalej od literatury, poświęcając się propagandzie niemal dziennikarskiej. Próba zwartej historii świata, działalność publicystyczna w sprawach Fabian Society, okolicznościowe artykuły i wywiady, ataki na Kościół Katolicki — oto przykłady przemian w pracy pisarskiej Wellsa.

Po śmierci twórcy "Kipps'a" widać coraz wyraźniej, że jeśli zostanie on w historii piśmiennictwa angielskiego, to na pewno nie za essaye i pamflety: Wells, powieściopisarz i nowelista, jest ciągle jeszcze fascynujący, mimo że wiele jego wróżb pospawdzało się już nie bez tragicznej dosłowności.

Zgony wielkich starców utwierdzają nas w przekonaniu, że długi rodział "postępowej" literatury dziewiętnastego wieku zamyka się wśród huku próbnych bomb atomowych. Ludzkość, znudzona prorokami, czeka z trwogą na męczenników gotowych umrzeć za prawdy stare i niepopularne.

* * *

Śmierć dramaturga niemieckiego Gerharta Hauptmann'a w Agnieszkowie (Agnetendorf), na Dolnym Śląsku., ostatnio przyłączonym do Polski, (dnia 6 czerwca 1946 r.), zamyka także jeden z rozdziałów literatury dziewiętnastego wieku. Urodzony w 1862 r. Hauptmann stał się apostołem nowego realizmu w literaturze, wstępując w ślady wielkiego dramaturga Ibsena. Wystawienie naturalistycznej sztuki Hauptmanna "Przed wschodem słońca" (*Vor Sonnenaufgang*) 20 października 1889, dzięki odważnej decyzji "Freie Buehne", stało się sygnałem do walki o teatr społeczny. Ale sława międzynarodowa czekała Hauptmanna dopiero po wystawieniu "Tkaczy" (*Die Weber*) w 1892 r., w której pisarze rewolucyjni Rosji, jak naprz. Gorkij, znaleźli potwierdzenie wyznawanego utylitaryzmu sztuki. To udane studium masy ludzkiej w dramatycznym konflikcie społecznym zachęciło innych reformatorów do podobnych prób w literaturze. Ale Hauptmann, jak Ibsen, nie ograniczył swych możliwości artystycznych do naturalizmu. "Dzwon zatopiony" (*Die versunkene Glocke*), dramat napisany wierszem, zaskoczył wielbicieli brutalnego realizmu baśniowością i romantyczną interpretacją dualizmu natury ludzkiej.

Próba dramatu historycznego na szerokim tle Wojny Chłopskiej (*Florian Geyer*) nie powiodła się Hauptmannowi, natomiast napisany w 1898 r. *Fuhrmann Henschel* należy do bodaj czy nie najlepszych dramatów realistycznych literatury światowej.

Działalność pisarska Hauptmanna w dwudziestym wieku mało jest znana kołom czytelników poza zasięgiem języka niemieckiego. Ale ta właśnie działalność autora "Tkaczy" pokazuje nowe oblicze pisarza, uważanego przez wielu za bezkompromisowego społecznika. W powieściach, napół erotycznych, napół utopijnych, w opowiadaniach, które zdradzają germańską skłonność do sadyzmu i masochizmu, uzewnętrznił się niespokojny duch dwudziestowiecznego Fausta, który szarpał się nietylko w ciele Hitlera, ale i w ciele poety George'a, tak jak męczył na starość Hauptmanna. W *Indipohdi* (1921) i utopijnej "Wyspie wielkiej matki" (*Die Insel der grossen Mutter*, 1924) germański Faust marzy i wątpi, buntuje się i targuje o wieczność.

Piszący te słowa pamięta wywiad Hauptmann'a, udzielony redakcji *Vœlkischer Beobachter* po ukończeniu kampanii wojennej w Polsce. Ten rzekomy pacyfista niedwuznacznie pochwalał wtedy "czyn orężny" narodu niemieckiego. Czas ironiczny kazał umrzeć samotnikowi z Agnetendorf pod rządami Polaków. Prasa niemiecka podobno oburza się teraz, że pogrzeb autora "Tkaczy" nie był dość pompatyczny i że willa w Agnieszkowie została przekazana poecie polskiemu, Leopoldowi Staffowi.

* * *

Kronika żałobna przygniata wiadomości o bieżących dokonaniach kulturalnych. 8 lipca umarł wybitny malarz polski, Józef Mehoffer, przeżywszy lat 77. Jego sławne witraże w katedrze fryburskiej podniosły znaczenie nowożytnej sztuki polskiej w oczach zachodniej Europy. Mając niespełna lat dwadzieścia cztery, Mehoffer otrzymał główną nagrodę w konkursie na pierwszy witraż do katedry, której piękno łączy się dziś z dokonaniem artystycznym cyklu polskiego malarza. W Polsce Mehoffer zostawił dzieła równie trwałe. Polichromia wnętrza kaplicy św. Jana Kantego (w dolnej części wieży Srebrnych Dzwonów przy Katedrze Wawelskiej) oraz witraż w wielkim oknie tejże kaplicy zostały wykonane przez niego. Oryginalność motywów mehofferowskich wyraziła się w śmiałym potraktowaniu tematyki przy jednoczesnym ujawnieniu typowo polskiego temperamentu. Dwa inne witraże w Katedrze Wawelskiej oraz polichromia w kościele parafialnym w Turku godnie reprezentują styl mehofferowski. Niezmordowany twórca i wychowawca (profesor Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie), Mehoffer łączył w swojej naturze artystycznej najlepsze cechy geniuszu polskiego: samorodność, rozmach i odwagę.

* * *

Francja znów kolportuje nowinki artystyczne. Tym razem wkraczają one częściowo w dziedzinę filozofii. Dyskutowany obecnie w kołach intelektualnych t. zw. egzystencjalizm poirytuje niejednego wielbiciela czystej sztuki myślenia. W egzystencjalizmie, tak jak w teoriach Nietzschego, za dużo jest literatury, żeby zadowolić ścisłych filozofów. Mimo to, a właściwie dzięki temu, niektóre idee francuskich apostołów "egzystencjalizmu" mają szanse dłuższego przetrwania. Literatura, jeśli jest dobrą literaturą, uchrania nawet najbardziej niekonsekwentne teorie naukowe przed zupełnym zniszczeniem.

Jean Paul Sartre, jeden z czołowych teoretyków tego nowego ruchu, jest bardzo dobrym literatem. Jego sztuka *Huis Clos*, ostatnio wystawiona w londyńskim Arts Theatre pod tytułem *Vicious Circle*, wywołała sensację w tutejszych kołach artystycznych. Sartre rozumie prawa sceny i stosuje je bardzo efektownie. *Vicious Circle* to interpretacja piekła w ujęciu egzystencjalisty. Konflikt psychiczny między trzema charakterami tego dusznego, niesamowitego dramatu zarysowuje jednocześnie konflikt między dobrem i złem, choć intencje autora na pewno nie szły w tym kierunku. Wiekowy wpływ katolicyzmu na kulturę francuską widoczny jest nawet w sztuce ateisty Sartre'a, kiedy piekło duszy ludzkiej ujawnia się w zetknięciu z innymi osobowościami. Troje męczenników własnych klęsk i słabości, zamkniętych w pokoju szczelnym, jak wieczność, tarza się ponuro w cudzych klęskach i słabościach, wyzbywając się resztek kontroli nad sobą. Sztuka Sartre'a jest dużym osiągnięciem artystycznym, Ale przede wszystkim jest przekonywająca teatralnie.

* * *

Dzięki uprzejmości jednego z czytelników *Myśli Polskiej* otrzymałem i przejrzałem *Antologię Poezji Polskiej*, wydaną w Paryżu przez dr. Stanisława Lama, a obejmującą lata emigracji wojennej 1939-1945. Antologia jest pojemna i, jako dokument czasu — wyjątkowa. Zbytnia powolność krytyczna wydawcy wobec poezji o tematyce patriotycznej skrzywiła portret twórczości polskiej lat ostatnich. Wiemy, że wydawca miał sporo trudności z zebraniem materiałów, tym niemniej nie powinien był pominąć wierszy ś.p. Stefana Borsukiewicza, najbardziej oryginalnego z młodych talentów Emigracji, oraz śmiałego nowatora, Bogumiła Andrzejewskiego. Zamiast tych nazwisk spotyka się w zbiorze Lama takie dziwolągi jak wiersz Cękalskiego, utwór niejakiego Dobka i inne osobliwości, które wyszły spod pióra t.zw. "poetów czasu wojny".

J. P.

20 *sierpnia* 1946 *r.*

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

Léon Noel, Ambassadeur de France: L' AGRESSION ALLEMANDE CONTRE LA POLOGNE. *Paris,* 1946. *Flammarion.* Stron 509. Cena 195 fr. franc.

Książka L. Noela jest nietylko dokumentem; jest to również dzieło literackie wysokiego gatunku, w którym plastyczność i werwa uprzystępniają czytelnikowi wypadki i kreślą żywo sylwetki ludzi.

Une ambassade à Varsovie obejmuje pobyt autora w charakterze przedstawiciela Francji w okresie od r. 1935 do r. 1939. Jest to zatem obraz relacyj polsko-francuskich, podany na tle kolejnych faz wielkiego dramatu europejskiego.

Leon Noel był dobrym obserwatorem. Układ stosunków politycznych w Polsce, istotne nastroje narodu polskiego w obliczu zbliżającego się niebezpieczeństwa hitlerowskiego, polski dynamizm patriotyczny, polskie poczucie honoru i sprawiedliwości zaobserwował autor i przedstawił wymownie. Wizerunek duchowy Polski w oczach tego wybitnego cudzoziemca wypadł imponująco i niezwykle dodatnio. Konstatujemy to z zadowoleniem tym większym, iż dobrze się stało, że dzieło to powiększy dokumentację europejską, dotyczącą Drugiej Wojny Światowej.

W kreśleniu portretów osób działających zachował autor bardzo dużą obiektywność i umiar, rozkładając sympatie i nagany równomiernie pomiędzy swych przyjaciół i oponentów. Mamy tu obraz niedołęstwa, braku planowości oraz krótkowzroczności gabinetów europejskich, nie umiejących we właściwym czasie i właściwymi środkami przeciwstawić się brunatnemu gangsterowi.

Noel nie oszczędza ani swych ministrów spraw zagranicznych, ani swego resortu. Przedstawia chwiejność i krótkowzroczność zarówno Francuzów, jak i Anglików, którzy zbyt późno i po zbyt wielu doświadczeniach sięgnęli wreszcie po rozum do głowy.

Autor nie ma nabożeństwa do polityki, prowadzonej przez kierownika polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Szef z Wierzbowej nie zawsze postępował tak, jak tego pragnął ambasador francuski, stąd politykę Becka nazywa L. Noel zbyt mocnym określeniem *une politique tortueuse.* Nie odmawia jednak polskiemu ministrowi ani szczerego patriotyzmu, ani czystości intencyj osobistych. Dalecy więc tu jesteśmy od pewnych, szkalujących polską politykę zagraniczną, opinij — i podkreślamy z zadowoleniem obiektywność, umiar i dobry ton książki. Są to, rzeczy dziś niestety tak rzadkie, trzeba więc je umieć ocenić.

Zresztą w świetle faktów, przytoczonych przez autora, *une politique tortueuse* wychodzi nieraz obronną ręką przed wieloma zarzutami, które tenże autor formułuje i stawia. Nie jesteśmy zatem skłonni dopatrywać się "krętactwa" tam, gdzie dyplomaci polscy — wbrew osądowi Noela — umieli spojrzeć na rzeczy trafniej i zachować postawę niezależną, nakreślając ambasadorowi Francji u siebie w Warszawie znacznie skromniejszą rolą od tej, do której on od czasu do czasu pretendował.

Nie zapominajmy, że celem, który sobie Noel postawił (o czym obszernie w książce swej mówi), było rozluźnienie przymierza polsko-francuskiego w tym sensie, by przymierze to straciło swą obowiązującą automatyczność, jeśli chodzi o Francję, ale by odwrotnie obowiązywało w dalszym ciągu Polskę. Dyplomacja polska przeciwstawiała się tym zamiarom, stwierdzając jednocześnie — i to w ciężkich dla Francji okolicznościach — że Polska jest gotowa w każdej chwilni i w każdej koniunkturze do natychmiastowego wykonania zobowiązań, powziętych w stosunku do swej sojuszniczki. Noel ani przez chwilę nie miał co do tego najmniejszej wątpliwości.

Trudno nam jest wchodzić w ostateczną ocenę wysiłków Noela, jako ambasadora Francji w Polsce. Powinno się tym zająć pióro bardziej kompetentne, niż nasze. Nie ulega jednak wątpliwości — i to raz jeszcze podkreślamy, gdyż daje temu świadectwo sam autor — że dyplomacja polska w narastaniu konfliktu z Niemcami i w fazie, poprzedzającej ostateczny wybuch, dała z siebie wszystko i suma błędów, popełnionych przez nią w rozrachunku ostatecznym nie jest na ogół większa od sumy błędów, popełnionych przez dyplomacje innych krajów sojuszniczych.

Taki jest właśnie sens świadectwa autora i fakt ten, z punktu polskiego widzenia pozytywny w dokumentacji o Drugiej Wojnie Światowej, — w tym miejscu notujemy.

P.C.

Sir Charles Petrie: DIPLOMATIC HISTORY 1713-1938. *London, Hollis & Carter Ltd.* Cena 18*s*.

Zaraz po Pierwszej Wojnie Światowej zarówno wojskowi, jak mężowie stanu, którzy w tym okresie wybitną grali rolę, zaczęli tłumaczyć swoje postępowanie w pamiętnikach. Po skończeniu obecnej wojny zauważyć można zupełnie inny kierunek zainteresowań u pisarzy, a widocznie i u publiczności. W Anglii, gdzie mało kto poza specjalistami interesował się historią powszechną poza historią angielską, mnożą się wydawnictwa odnoszące się do polityki i zagadnień kontynentu, do których należy między innymi świeżo wydana świetna monografia Nicolsona o pokoju wiedeńskim.

Studium Sir Charles Petrie, poświęcone historii dyplomatycznej dwóch stuleci, jest pełnym faktów i uczonym podręcznikiem, który daje czytelnikowi sporo materiału do nauki. Studium to uwzględnia historię Europy i St. Zjednoczonych szerzej od Historii Dyplomacji Angielskiej Uniwersytetu Cambridge, a w sądach swoich wydaje się być również mniej insularne. Nie wyczytamy w nim np., że Wojna Krymska była błędem, a utworzenie państw bałkańskich celem, nie wartym dużego zachodu. Czytelnika, który zna dobrze historię, ucieszy zdanie, znajdujące się na pierwszej stronie książki, a powtórzone za lordem Actonem, o Ludwiku XIV, "że był jednym z najzdolniejszych ludzi, urodzonych w czasach nowoczesnych na stopniach tronu". Takie zdanie idzie na wspak dosyć rozpowszechnionym w W. Brytanii poglądom, jakoby Ludwik XIV był tyranem na miarę Napoleona.

W ciągu dwu stuleci, rozpoczynających się z rokiem 1713, Anglia skorzystała z dwóch wielkich pokojów europejskich w Utrechcie i w Wiedniu. Oba były skierowane przeciwko Francji. Z początkiem XVIII wieku jasnym już było, że nowo powstającymi siłami w Europie są Anglia i Prusy. Dla Polski zwycięstwo pod Wiedniem było ostatnim błyskiem jej dawnej chwały; dla Francji w XVIII w. rozpoczęła się walka z Anglią, która w końcu miała ją uzależnić od niej politycznie. Dodać należy, że sprawę rozbiorów i wszystko, co naszego kraju dotyczy, Sir Charles Petrie przedstawia należycie obszernie i obiektywnie.

Wedle autora w XIX w. Anglia miała czterech wybitnych ministrów spraw zagranicznych: Castlereagh, Canninga, Salisbury' ego i Lansdowne'a. Może najbardziej twórczym przez to, że dał swoje poparcie doktrynie Monroe, był Canning. Petrie do rzędu wielkich ministrów nie chce zaliczyć Palmerstona, gdyż jego buńczuczne wystąpienia były bardziej efektowne, niżeli istotnie mądre. Petrie dodaje, że miał on wpływ na przyszłego króla Edwarda VII i jest to jeden z ukrytych zarzutów, stawianych temu królowi, kończący się suchą uwagą, że Edward VII był ostatnim monarchą, który brał czynny udział w polityce swego kraju.

WIKTOR TROŚCIANKO

METROPOLITAIN

Gubię się w czarnych tunelach
z łomotem przelęklej krwi.
Wybrałem się którejś niedzieli
po słońce na Cherche Midi.

Jak lata mijają napisy,
nazwy kierunków i dróg . . .
Zginął — wspomnieniem zwisa
olbrzym: Zwycięzki Łuk.

Gwiazda zleciała w bezdenne
otchłanie, w czeluście nor.
Warkotem posępnych bębnów
zagrała pusta Concorde.

Liberté w tunelach — z ołtarza
(historia ukryła schedę).
Na Dworcu Świętego Łazarza
stał łazarz — w dodatku niejeden . . .

Wysiadam, odpływam z falą,
szukam oddechu, drzwi,
aż ktoś się nade mną użalił:
"mon pauvre — pas de sortie".

Daleko majaczą ogrody,
szuwary z nad srebrnych rzek.
Minąłbyś tylko te schody,
a potem byś chłopcze — biegł!

Gnał na Zielone Jeziora,
płoszyłbyś stada wron,
a właśnie wczoraj, z wieczora . . .
mój Boże — ten napis: NATION.

Stamtąd pojadę jak strzelił
do bzów (do Porte de Lilas),
Tuż za nią jest cisza nadziei,
wiatr, antokolski las . . .

W lesie tym znam takie miejsce,
gdzie zmywa się pot i ból.
Przychodzą tam święci wiejscy
i Panna Najświętsza z Pól.

Szyny, tunele, sygnały —
maraton bez tchu, bez szans.
Znowu gdzieś przyjechałem
i czytam: CORRESPONDENCE.

WIKTOR TROŚCIANKO

Paryż, w lipcu 1946.

Wszystko sprzyjało pomyślności Anglii, dopóki Europą rządził Bismarck, polityk ostrożny i umiarkowany, który zabezpieczał to, co zdobył, a Niemcy uważał za kraj "nasycony". Petrie stawia go tak wysoko, że uważa go za największego męża stanu XIX w., nawet w zestawieniu z "wątpliwą" wielkością Napoleona I. Przebacza mu powiedzenie, skierowane co prawda częściowo pod adresem Palmerstona: "Straciłem parę lat mego życia, przyjmując jako pewnik, że Anglia jest wielkim narodem". Żaden układ sił w Europie tak nie sprzyjał W. Brytanii, jak sojusz trzech cesarzy (rosyjskiego, niemieckiego, autriackiego) oraz Trójporozumienie Niemiec, Austrii i Włoch.

Ale ponieważ nic nie trwa wiecznie, gdzieś w ostatnich dziesięcioleciach XIX w. zaczęły się zmiany, najprzód drobne, następnie coraz liczniejsze, tak jak po pogodzie niebo stopniowo zasnuwa się chmurami. Sir Charles Petrie nie lubi naturalnie żadnych uogólnień, ale, jak stwierdza, ciekawym jest śledzić za wydarzeniami, które, pozornie niepowiązane ze sobą, wywołują w rezultacie rzecz, dla wielu zainteresowanych straszną, a mianowicie wojnę. Petrie przezwał ją europejską Wojną Peloponeską. Zaczęło się od tego, że w czasie Wojny Burskiej Anglia poczuła się bez sojuszników na kontynencie, w czasie wojny rosyjsko-japońskiej Niemcy utwierdzili się w przekonaniu, że Rosja jest słaba — i tak ci, dla których pokój był najkorzystniejszy: państwa trzech cesarzy, rozerwali ten pokój pospołu.

Jego odbudowa, w dawnym znaczeniu równowagi sił i umiarkowania okazała się zwodniczą, gdyż w grę wszedł element nowy: opinii publicznej tak rozhuśtanej przez propagandę, że krzyżowała spokojniejsze zamysły polityków. Petrie poświęca ciekawy ustęp jednemu z niedoszłych wielkich planów; propozycji pokojowej ks. Bourbon-Parma, wysuniętej podczas Pierwszej Wojny Światowej w celu ratowania Austrii. Przy zawieraniu pokoju i potem pokazało się, że Francja, tak jak wiele razy przedtem, mimo zależności od Anglii, próbowała prowadzić samodzielną politykę. Ostatni rozdział książki jest pełen kwaśnych uwag na ten temat i żalu do Francji za jej rolę.

J. A. Ż.

POLOGNE 1919-1939. Volume I: Vie Politique et Sociale. Stron 591. Volume II: Vie Economique. Stron 712. *Neuchatel*, 1946. *Edition de la Baconnière.* Cena każdego tomu 24 fr. szwajc.

Jest to wydawnictwo o charakterze encyklopedii wiedzy o Polsce w okresie dwudziestolecia jej wskrzeszonej niepodległości. Kierownikiem jego jest b. poseł R.P. w Bernie Jan Modzelewski, sekretarką generalną p. Jadwiga Romerówna. Do współpracy zaproszonych zostało kilkudziesięciu Polaków, których wypadki wojenne zagnały do Szwajcarii, lub którzy w niej przebywali jeszcze przed wojną.

Dziesięć osób tłumaczyło poszczególne rozdziały na język francuski, a całość tekstu francuskiego została przejrzana i poprawiona przez Francka L. Schoella, b. profesora literatury francuskiej na uniwersytecie kalifornijskim, wielkiego przyjaciela Polski.

Ukazały się do tej pory dwa pierwsze tomy wydawnictwa, imponujące swoimi rozmiarami i bogactwem treści. Graficznie także są bez zarzutu: papier jest doskonały, druk czysty i wyraźny. Tom pierwszy poświęcony jest życiu politycznemu i społecznemu. Zapowiedziane jest bliskie ukazanie się tomu trzeciego i ostatniego, omawiającego życie intelektualne i artystyczne.

Poziom poszczególnych opracowań — jak zawsze bywa w tego rodzaju wydawnictwach — nie jest równy, niemniej widać, że autorowie ich włożyli w swą pracę rzetelny wysiłek. Szereg opracowań jest bardzo dobrych. W tomie pierwszym po krótkim szkicu obrazującym polski wysiłek wojenny w okresie 1939-1945, pióra Lesława Wierczyńskiego, oraz uwagach wstępnych Romana Battaglii, następują rozdziały, poświęcone historii Polski (A. Vetulani i Z. Wierzbowski), życiu prawniczemu (L. Wierczyński, J. Gawenda, St. Maksymowicz, T. Szmitkowski, Al. Zdanowicz, M. Wyderko, W. Petsch), polityce społecznej (St. Lewicki), wyznaniom religijnym (W. Żyliński, W. Meysztowicz, J. Lubecki, J. Świda, N. Heindel), mniejszościom narodowym (W. Knoll, T. Stark, J. Stempowski, Al. Zdanowicz, M. Zaleski), Polakom za granicą (C. Szulczewski, J. Radomyski, T. Szmitkowski), obronie narodowej (M. Czyżewski i A. Blum). Całość stanowi istną kopalnię informacji o wymienionych wyżej dziedzinach; przy końcu każdego rozdziału podana jest literatura przedmiotu.

Wśród usterek najważniejszą jest brak dokładniejszego omówienia zagadnienia polskich ziem wschodnich. Dobrze skądinąd napisane opracowanie o sytuacji politycznej Polski w okresie 1914-1939 pomija m.i. zupełnie sprawę "linii Curzona", tak fałszywie interpretowanej dla celów politycznej *expediency* na Zachodzie. Przy omawianiu sprawy Wilna podany został tylko odsetek ludności polskiej w tym mieście wedle statystyki rosyjskiej i niemieckiej, bez uwydatnienia znacznie większego odsetka Polaków w otaczających je powiatach, — a przecież legenda o Wilnie, jako "wyspie polskiej", oblanej obcym obszarem, wyrządziła nam szczególnie duże szkody. W tomie II wydawnictwa znajdujemy na str. 114-117 krótką charakterystykę oblicza etnicznego ziem wschodnich (z tablicą statystyczną wedle spisu z r. 1931) — rola jednak, jaką żywioł polski na ziemiach tych odgrywał w ciągu wieków i w ciągu minionego dwudziestolecia niepodległości, nie została nigdzie należycie omówiona. Wielka to szkoda, gdy się weźmie pod uwagę sposób, w jaki zagadnienie to przedstawiane jest przez większość polityków i publicystów Zachodu (nie wyłączając Francji i Szwajcarii). Może dałoby się to jeszcze naprawić — szczególnie jeśli chodzi o związki Wilna i Lwowa z Polską — w tomie trzecim Encyklopedii, lub jakichś do niej załącznikach?

Z innych spraw zwraca uwagę pewna, miarkowana zresztą licznymi zastrzeżeniami, jednostronność w przedstawieniu sprawy zamachu majowego i późniejszych wewnętrznych wydarzeń politycznych (tom I, str. 41, 124-125, 140).

Tom drugi, jeszcze obszerniejszy, obejmuje—poza przedmową i uwagami wstępnymi — dwie części. W pierwszej znajdujemy rozdziały, poświęcone opisowi geograficznemu Polski (M. Alexandrowicz) surowcom (W. Breuer, M. Epstein, T. Stark, S. Mandecki) oraz opisowi demograficznemu (T. Stark). Część druga obejmuje rozdziały, dotyczące rolnictwa (S. Mandecki, M. Janiak, Z. Moszczeński, K. Czerniewski, Z. Kallenbach, R. Paradystal, K. Bartkowiak, Z. Sumowski), przemysłu (A. Rosé, W. Breuer, Z. Rudowski, P. Piechowicz, P. Nowakowski, S. Sembrat, J. Manitius, J. Statkiewicz, J. Jakimowicz), handlowi (A. Rosé, M. Epstein, W. Stefaniak), inwestycjom publicznym, (J. Rakowski, A. Bobkowski, T. Szmitkowski, B. Hupczyc, M. Mischke, A. Kozłowski, R. Jorkasch-Koch, J. Giaro, E. Tromszczyński, J. Szelichowski, J. Hajdukiewicz, L. Górski) oraz finansom (J. Rakowski, Z. Brudzewski, B. Olexy, L. Szper, Z. Brudzewski, W. Stefaniak).

Podobnie jak w całym wydawnictwie, i tu wartość opracowań jest różna. Parę z nich jest wyraźnie słabszych. W sumie jednak zawierają one mnóstwo informacji, umiejętnie uporządkowanych i przepracowanych.

Redaktorom i współpracownikom Encyklopedii pogratulować można ich dzieła, które niewątpliwie wybija się na jedno z czołowych miejsc w polskiej produkcji wydawniczej obecnego tragicznego okresu.

L.

Elma Dangerfield: BEYOND THE URALS. Preface by Rebecca West. *London*, 1946. *British League for European Freedom* (166, *Elisabeth Street*, *S.W.*1). Stron 95, z mapami i ilustracjami. Cena 2s.

Praca Elmy Dangerfield stanowi cenne uzupełnienie wydanej niedawno książki *The Dark Side of the Moon*, która wywarła tak duże wrażenie w kołach intelektualnych Wielkiej Brytanii. P. Dangerfield, opierając się na licznych oficjalnych i półoficjalnych źródłach i dokumentach oraz informacjach uzyskanych bezpośrednio od Polaków, którzy wydostali się z "łagrów" i więzień rosyjskich, daje uporządkowany i ujęty w cyfry oraz kategorie obraz deportacji sowieckich z Polski wschodniej w okresie 1939-1941. W kolejnych rozdziałach omówione są tu aresztowania, zabójstwa i egzekucje, dokonane na tym obszarze, rekrutacja do pracy na terenie Z.S.S.R., deportacje obywateli polskich w głąb Rosji, pobór do Armii Czerwonej i los jeńców wojennych. Końcowy rozdział zawiera zesumowania ogólne i omawia dalsze koleje deportowanych. W załącznikach znajdujemy tekst roporządzenia Guzewiciusa, komisarza spraw wewnętrznych Litwy Sowieckiej, ustalającego kryteria doboru osób przeznaczonych do deportacji z Litwy, w dalszym zaś ciągu wyjątki z listów wywiezionych w głąb Z.S.S.R. kobiet i dzieci polskich. Do tego dochodzi szereg dobrze dobranych fotografii i map.

Całość stanowi wymowny komentarz do metod, zapoczątkowanych w Europie Środkowo-Wschodniej niemal równocześnie przez Niemców i komunistów rosyjskich.

W przedmowie swej znana pisarka angielska, o umiarkowanie lewicowych poglądach, Rebecca West pisze m.i.:

"Jest rzeczą niemodną wspominać te deportacje i cierpienia, jakie one zadały z górą milionowi ludzi. Ci, którzy chcą utrzymać milczenie na ten temat, powodowani są szeregiem przyczyn, częścią szlachetnych, częścią niskiego charakteru. Są ludzie, którzy wierzą, że ponieważ Rosja zmierza do zniesienia ubóstwa i nierówności, musi ona być całkiem niewinna, że więc opowiadania te są kłamstwem, choć ci, którzy dają im świadectwo, są liczniejsi od gwiazd i odznaczają się nieskazitelną reputacją. Inni ludzie sądzą, że opowiadania te mogą być prawdziwe, lecz wyklinają je na modłę wyznawców *Christian Science.* Podobnie jak zwolennicy pani Eddy, którzy przeziębiwszy się spodziewają się, że zarazek przestanie istnieć, o ile zostanie zignorowany, tak ci ludzie mają nadzieję, że jeśli zignorują te deportacje to nie zajdą żadne dalsze. Co się tyczy przyczyn bardziej niskiej natury, to wypływają one ze zbytnjej gotowości w przystosowywaniu się do trudności naszych czasów . . .

"Niemniej istnieje sprawiedliwość i istnieje krzywda. Istnieje dobro i zło. Jest rzeczą niedobrą mówić kłamstwa. Jest rzeczą niedobrą ukrywać naturę zła . . . "

W ustępie, poświęconym samej Polsce, Rebecca West pisze :

"Kłamać na temat tych deportacji nie oznacza być po stronie ludu. Polska jest krajem, w którym tendencje reakcyjne kwitły, ponieważ były podsycane przez historię. Polska była opóźniana w rozwoju przez nacisk inwazji azjatyckich, wybryki kontrreformacji oraz nikczemną chytrość caratu, która doszła do szczytu w XIX wieku w postaci umyślnego szczepienia antysemityzmu oraz polityki społecznej i ekonomicznej, w taki sposób pomyślanej, ponieważ, jak to przyznał cynicznie Czerkaskij, rosyjskie interesy państwowe domagały się dalszego trwania wrogich stosunków między polską szlachtą a włościaństwem. Istnieli jednak zawsze Polacy, którzy przezwyciężali historię i pragnęli budować społeczeństwo, oparte na sprawiedliwości i wolności . . . Nieprzyjaciel nie był jeszcze zmuszony do milczenia, ale bitwa była już u progu wygranej. Wielu z tych, którzy ją wygrywali, znajdowało się między milionem deportowanych. Ignorować ich zagładę oznacza być nie po stronie ludu, ale przeciw niemu."

W tygodniku *Time and Tide* z dnia 17 sierpnia rb. inna wybitna pisarka angielska, Rose Macaulay, zamieszcza o książce p. Dangerfield cały artykuł p.t. *Into the Wilderness*, w którym pisze m.i. :

"Gdy się czyta tę straszliwą i potworną opowieść, jest się oszołomionym przez okrucieństwo i barbarzyństwo podanych faktów, oraz — by użyć tu wyrażenia trywialnego, niemniej jednak określającego jedną z głównych ich cech, — ich czystą (*sheer*) impertynencję. Oto widzimy potężne i wielkie państwo — złączone złym wspólnictwem z innym potężnym państwem—, napadające i okupujące wielką część sąsiedniego kraju (z którym nie tylko jest w stanie pokoju, ale z którym złączone jest także szeregiem traktatów o nieagresji), usadawiające się tam z wielkimi siłami wojska i policji i przystępujące od razu do pozbycia się drogą egzekucyj, więzienia i uprowadzania (*kidnapping*) wielu tysięcy mieszkańców . . .".

Y.

KSIĄŻKI NADESŁANE

PRZYPŁYW. Poeci II Korpusu. Do druku przygotował Jan Bielatowicz. *Rzym*, 1946. *Biblioteka Orła Białego*. Stron 152.

Stanisław Sopicki : CHRZEŚCIJAŃSCY DEMOKRACI. *Londyn*, 1946. *Chrześcijańskie Zjednoczenie Zawodowe Polskie*. Stron 27. Cena 1s.

POLSKA I WIELKA BRYTANIA przed i po Konferencji Krymskiej, DOKUMENTY. *Londyn*, 1946. Stron 48.

F. A. Voigt : "BE YE STRONG . . ." (Odbitka z "The Nineteenth Century and After," kwiecień i maj, 1946). *London*, 1946. *Constable Publishers*. Stron 39. Cena 1s.

Karol Poddębski : BEHIND THE IRON CURTAIN. *London*, 1946. *J. Rolls Book Company Ltd.* Stron 68. Cena 2s. 6d.

POLAND ACCUSES. An indictment of the major German War Criminals. Foreword by the Council of Polish Political Parties. Preface by Dr. Br. Kuśnierz. *London*, 1946. Stron 53.

SOVIET-POLISH RELATIONS. A collection of official documents and Press extracts, 1944-1946. *London*, 1946, *Soviet News*. Stron 51. Cena 1s.

LISTY DO REDAKCJI

(*Odpowiedzialność za poglądy wyrażone w listach do Redackji ponoszą wyłącznie ich autorzy*).

CONRAD A POLSKA

Szanowny Panie Redaktorze,

P. Aleksandra Poleska w swym pięknym artykule, który ukazał się w lipcowym zeszycie *Myśli Polskiej*, porusza zagadnienie stosunku Conrada do Polski, stwierdzając, że "pokłady dawnych wspomnień nie zamarły (w nim) i zachowały wiele ze swej siły uczuciowej, a wypadki rozgrywające się w Polsce zawsze były mu bliskie". Jest rzeczą znamienną, że właśnie w ostatnim okresie życia wielkiego pisarza poczucie związku z Polską przybrało w nim tak na sile, że — mimo całego jego przywiązania do Anglii — wyraziło się w chęci powrotu do dawnej ojczyzny. Stwierdziło to kilka osób, Conradowi bliskich, w szczególności żona jego, Jessie.

W swych wspomnieniach o Conradzie pisze, ona m.i. co następuje :

"Nie mam wątpliwości, że wojna przywiodła mu na myśl żywiej niż kiedykolwiek pierwszy tragiczny okres jego życia, i jestem mocno przekonana, że przez długi czas przed śmiercią odczuwał zew swego rodzinnego kraju (*he felt the call of his native land*) choć był równie dobrym "Anglikiem" jak ktokolwiek urodzony i wychowany tutaj, równie lojalnym wobec interesów Anglii i równie oddanym narodowi angielskiemu. Odczuwałam jednak zawsze bardzo silnie jego podwójną narodowość (*dual nationality*) i z tego powodu postarałam się o to, by na jego ostatnim miejscu spoczynku znajdowały się kwiaty o narodowych barwach polskich, czerwonej i białej (*Joseph Conrad as I Knew Him*, 1926, str. 16).

To samo stwierdza długoletni przyjaciel Conrada, autor "Sagi Forsytów" John Galsworthy w swych *Reminiscences of Conrad*, zawartych w zbiorze *Castles in Spain* (1927). "Jego żona — pisze Galsworthy — mówiła mi, że w ostatnim miesiącu życia przejawił się w nim rodzaj instynktu powrotu do kraju (*homing instinct*) i że niekiedy wydawał się pragnąć rzucić wszystko i powrócić do Polski".

Niemniej interesująca jest relacja Gustawa Morfa w książce jego *The Polish Heritage of Joseph Conrad*, wydanej w r. 1930. "Pod koniec życia — czytamy w niej — kiedy myśli Conrada coraz bardziej kierowały się do wspomnień dzieciństwa, zdawało się mu niekiedy, że Polska wzywa go do powrotu, że powinien iść tam. Kiedy był chory, mówił do siebie po polsku (szczegół ten wiem od samej Mrs. Conrad). O czymże mógł wtedy mówić, jak nie o swej polskiej przeszłości ?

"Pisanie "Korsarza" (*The Rover*) oznaczało punkt zwrotny w jego rozwoju umysłowym. Jest to pierwsza z jego książek, w której wygnaniec powraca do swego kraju i — co jest bardziej jeszcze znamienne — w której dowodzi on ponad wszelką wątpliwość, że wbrew wszystkiemu jest dobrym patriotą. W tym czasie możliwość powrotu do Polski stawała się w sposób widoczny mniej odległą, a z biegiem lat myśl ta była coraz bliższą". (Str. 201).

Warto wreszcie przytoczyć opinię angielskiego krytyka literackiego R. L. Mégroza, który należał do ściślejszego kręgu znajomych Conrada. " Gdyby Conrad żył dłużej — pisze Mégroz — jest prawie pewne, że powróciłby do obciążonego marzeniami (*dream-burdened*) kraju swych ojców, by się w nim osiedlić. Postanowił czekać, aż obaj jego synowie rozpoczną swą karierę życiową, a po tym podjąć swą końcową podróż, która miała dać życiu jego artystyczną pełnię (*an artistic completeness*). Jak wiele Polska dla niego znaczyła, stwierdzić można czytając jego artykuły o Polsce jako teksty filozofii życiowej, która objaśnia jego powieści . . . Jego indywidualność jest mieszaniną płomiennego moralisty, oddanego studiom nad rodzajem ludzkim, i romantycznego marzyciela, ścigającego wspomnieniami przeszłość". (*A Talk with Joseph Conrad and a Criticism of His Mind and Method*, 1926, str. 63-64).

Przytoczonym powyżej głosom przeciwstawia się opinia jednego z najbliższych w ostatnim okresie towarzyszy Conrada, Richarda Curle, autra książki *The Last Twelve Years of Joseph Conrad*, wydanej w r. 1928. Przeczy on twierdzeniom, jakoby Conrad na serio pragnął wrócić do kraju, powołując się na jego silne związki duchowe z Anglią. I on jednak podkreśla gorące uczucia, jakie Conrad zawsze żywił dla Polski i jakie znajdowały wyraz nie tylko w jego artykułach i memoriałach, ale w takich nawet praktycznych aspektach, jak pomoc materialna, udzielana różnych Polakom, a idąca w sumie w tysiące funtów. (Str. 170, wyd. ameryk.)

W innym miejscu Curle stwierdza, że nie słyszał nigdy Conrada krytykującego Polaków. "Być może działo się tak dlatego, że widział, iż Anglicy nie tylko o Polsce nic nie wiedzą, ale też niemal zupełnie się nią nie interesują" . (Str. 179.)

Ostatnim aktem publicznym w życiu Conrada — notuje Curle — był jego wyjazd do Londynu w dniu 11 czerwca 1924 r. (t.j. na siedem tygodni przed śmiercią) celem wzięcia udziału w lunchu wespół z ambasadorem polskim. Curle zaznacza, że zaproszenie to sprawiło Conradowi dużą przyjemność. (Str. 171.)

Nie będę tu poruszał zagadnienia polskich elementów psychicznych i polskich motywów w twórczości pisarskiej Conrada ; jest to temat bardzo obszerny, omówiony przez krytyków literackich z różnych punktów widzenia (w Polsce bodaj najciekawsze na ten temat uwagi — obok prof. Ujejskiego — wypowiedziała autorka "Dni i Nocy" Maria Dąbrowska). Pragnę tylko przytoczyć jeszcze — choć nie wiąże się to bezpośrednio z tematem — kilka myśli z essayu o Conradzie, który bezpośrednio po jego zgonie, w sierpniu 1924 r., napisała Virginia Woolf, pisarka o wielkiej subtelności i wyostrzonym zmyśle krytycznym, tragicznie zmarła w czasie wojny. Essay ten, mało znany w Polsce, wszedł w skład zbioru zatytułowanego *Common Reader* (1925). Oto pierwsze jego słowa :

"Nagle, nie dając nam czasu do skupienia myśli ani przygotowania słów, gość nasz

opuścił nas, a jego odejście bez pożegnania, bez ceremonij, kojarzy się zgodnie z jego tajemniczym przybyciem przed wielu laty, kiedy zamieszkał w tym kraju. Zawsze bowiem istniała dokoła niego aura tajemniczości. Było to częściowo jego polskie pochodzenie, częścią jego pamiętna powierzchowność, częścią jego skłonność do życia na głębokiej prowincji, zdala od zasięgu plotek . . . tak, że dla zasięgnięcia wiadomości o nim polegać trzeba było na świadectwach prostych ludzi, mających zwyczaj dzwonienia do drzwi, którzy opowiadali o swym nieznajomym gospodarzu, że miał doskonałe maniery, bardzo jasne oczy i że mówił po angielsku z silnym akcentem cudzoziemskim".

Styl Conrada — zdaniem V. Woolf — odznacza się barwnością, siłą i majestatem. W tej "raczej posępnej (*sombre*) muzyce z jej rezerwą, dumą i nieubłaganą prawością", słyszymy "jak to lepiej być dobrym, niż złym, jak dobrą jest lojalność, uczciwość i odwaga — choć pozornie Conrad zajęty jest tylko pokazaniem nam piękna nocy na morzu". (Str. 284.)

Virginia Woolf ceni szczególnie wcześniejsze dzieła Conrada: "Młodość", "Lorda Jima", "Tajfun", "Murzyna z załogi "Narcyza". One to, jej zdaniem, zapewnią Conradowi trwałe miejsce w literaturze, "te książki ze swą melodią mówienia nam czegoś bardzo dawnego i doskonale prawdziwego, co spoczywało ukryte, lecz zostało teraz objawione. Dojrzałe w swej pełni i spokojne, bardzo czyste (*chaste*) i bardzo piękne, wyłaniają się one w pamięci, tak jak w tych gorących letnich nocach jawi się najpierw pierwsza gwiazda, a za nią, w swej powolnej i majestatycznej wędrówce, inne". (Str. 291.)

Łączę wyrazy prawdziwego poważania

B. MARKOWSKI

Londyn, dnia 15 sierpnia 1946 r.

"WIERNE PŁOMIENIE"

Szanowny Panie Redaktorze,

W zeszycie marcowym *Myśli Polskiej* znalazłem z radością kilka wierszy z antologii poezji lwowskiej *Wierne Płomienie* oraz piękny artykuł pt. *Arka Przymierza*, poświęcony temu zbiorowi. Ostatnio zaś, również z *Myśli*, dowiedziałem się o wydaniu całej antologii w Londynie staraniem Związku Ziem Południowo-Wschodnich.

Niech mi będzie wolno dodać kilka informacji na temat okoliczności, w jakich doszło do wydania *Wiernych Płomieni*. Antologię w zasadniczych ramach opracowano kolektywnie we Lwowie. Robiła to grupa literacka — niepolityczna. Ówczesny szef propagandy Stronnictwa Narodowego przywiózł mi do Warszawy pierwszą redakcję zbiorku do druku. Po przeredagowaniu oddałem książkę do zakładów podziemnych *Walki*, głównego podziemnego organu S.N. w stolicy. Wydawcą jest więc Centralny Wydział Propagandy Stronnictwa Narodowego. Pracę, podobnie jak druk dwóch wydań antologii *Słowo Prawdziwe*, wykonały warszawskie zakłady drukarskie Stonnictwa Narodowego którymi kierował mój współpracownik, śp. Janusz Gorczykowski (zginął w pierwszych dniach powstania w natarciu na linie niemieckie). Wszystkie nasze wydawnictwa były w ostatnich dwóch latach sygnowane firmą "Dr. Apaki" (nazwę wymyślili zecerzy) oraz znakiem graficznym ZWW (Zakłady Wydawnicze *Walki*).

Antologię kolportowaliśmy naszą siecią na kraj. Wysłaliśmy kilka egzemplarzy za granicę przez kurierów.

Żałuję bardzo, że nie mają Panowie jednego przynajmniej egzemplarza *Słowa Prawdziwego*, które było naszą pierwszą poważniejszą pracą wydawniczą. *Słowo* było przekrojem twórczości poetyckiej całego kraju. Opracowaniem i wydaniem *Słowa* zajmowałem się sam za zgodą kol. Bajkowskiego na dwa miesiące przed Jego śmiercią.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania

WIKTOR TROŚCIANKO

Ankona, 24 sierpnia 1946 r.

SPROSTOWANIE

Szanowny Panie Redaktorze,

Czytając swoją notatkę p.t. "Nowa sowiecka pięciolatka", wydrukowaną w numerze 101 *Myśli Polskiej* z sierpnia 1946 r., doznałem zasłużonego zawstydzenia: nie wolno dawać Redakcji nabazgranych rękopisów. Rękopis wspomnianej notatki był właśnie nabazgrany i Redakcja, przepisując go na maszynie, by był czytelny dla zecera, źle "domyśliła się" ustępów, które były trudne do odcyfrowania. Otóż poziom produkcji dóbr spożycia w okresie bieżącego planu pięcioletniego ma przewyższyć o 85% poziom produkcji w 1945 r. (stanowiącej 40% produkcji przedwojennej), czyli ma być w 1950 r. jeszcze o 25% mniejszy od produkcji przedwojennej. Jest to różnica bardzo duża w porówaniu z tym, co zostało wydrukowane.

Inne błędy są nieistotne. Błędnie na przykład wydrukowane słowa rosyjskie: *sorewnowanije i dwiżenije.*

Proszę przyjąć wyrazy prawdziwego poważania

MICHAŁ STACHNIK

Londyn, dnia 13 sierpnia 1946 r.

APEL

Otrzymujemy następującą odezwę, skierowaną do ogółu Polaków na obczyźnie :

"Uchodźstwo Polskie stoi w obliczu rosnących nieustannie potrzeb oświatowych, od których zaspokojenia zależy cała przyszłość Polaków na obczyźnie. Tylko zbiorowy wysiłek, w którym nie może braknąć nikogo, jest w stanie zabezpieczyć niezbędne środki materialne.

"Apelujemy gorąco do wszystkich członków Polskich Sił Zbrojnych z prośbą o dobrowolne wpłacanie na Fundusz Kulturalno-Oświatowy składki w wysokości jednodniowego żołdu, oraz do wszystkich osób cywilnych, zatrudnionych w urzędach i przedsiębiorstwach, z prośbą o składanie na ten cel datków w wysokości $\frac{1}{30}$ poborów miesięcznych. Wpłaty należy przesyłać pod następującym adresem : Władysław Donigiewicz, Zrzeszenie Nauczycieli Polaków na Uchodźstwie, 74, Cornwall Gardens, London, S.W.7.

"Zrzeszenie Profesorów i Docentów Polskich Szkół Akademickich w Wielkiej Brytanii.

"Zrzeszenie Nauczycieli Polaków na Uchodźstwie."

Prenumeratorów naszych z Drugiego Korpusu W.P., którzy ostatnio przybyli do Wielkiej Brytanii, prosimy o podanie ich nowych adresów, by zapewnić im regularną wysyłkę pisma.

ADMINISTRACJA

Treść *Nr.* 102 (*Rok* VI, *Nr.* 7) **"Myśli Polskiej"** :

"MYŚL POLSKA"
założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się raz w miesiącu.
Redakcja i Administracja :
24, Wellington Road, St. John's Wood, London, N.W.8. Tel. PRImrose 4350

Prenumerata półroczne (6 numerów) 12s. lub $4.
Prenumerata rocznie (12 numerów) — £1 4s. 0d. lub $8.

Printed for "Myśl Polska" by F. Mildner & Sons, Herbal Hill, Clerkenwell Road, London, E.C.1. September, 1946.